Nr. 48. Lwów, Niedziela dnia 5. Sierpnia 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

GIORDANO BRUNO.

Niepoliczone tysiące męczenników za sprawę religii ściętych, spalonych, ukrzyżowanych, przejmują serce każdego uczciwego człowieka czcią i uwielbieniem. Te czyste postacie, pełne wiary w lepszy żywot, idące na śmierć z twarzą rozpromienioną, z okiem do góry podniesionem, z wiarą niezachwianą w prawdę nauki, której słuchają, służą przez długie wieki pokoleniom za gwiazdy przewodnie, porywają umysły za sobą, ich wiara zwycięża, i potwierdzają się słowa poety, że „krew ma nasiona.“

Lecz wszyscy ci prowadzeni byli przez życie całe niewidoczną przyjacielską ręką, wszechprzytomną i nieskończenie miłosierną, a śmierć była dla nich przejściem z doliny łez do wiecznej szczęśliwości, z nędzy cielesnej do roskoszy duchowych w raju, z ziemi do nieba. Boleśne przejście przez ogień małą było zaiste zapłatą za wieczną szczęśliwość. Więc też szli zapatrzeni w tę przyszłość naprzód, niezachwiani, nieustraszeni, i przelewali z radością za wiarę krew, a jej „nasiona“ zeszły i wydały już plony obfite.

Inaczej było z męczennikami nauki, a szczególniej z Giordanem Bruno, który trzy wieki czekać na to musiał, by się nareszcie odważono oddać mu cześć publiczną. Jego filozoficzne przekonania nie dawały mu takiej pociechy na przyszłość: był przekonany o ich prawdzie i zginął w ich obronie. A w chwili stracenia nie widział aniołów przyjmujących jego duszę i unoszących do nieba. Przez całe życie sam jeden, jedyny, toczyć musiał walkę w obronie tego co za prawdę uważał, a ginąc nie miał pewności, że go niebieskie roskosze oczekiwać będą. Olbrzymia to, potężna postać, ten człowiek samotnie wśród ciemności stojący i czekający spokojnie spełnienia wyroku, który mógł być usunięty jednem słowem zaparcia się.

W Giordanie mamy przed sobą najwznioślejszy przykład niewzruszonego męztwa, niezachwianej mocy duszy, bezgranicznego przywiązania do prawdy, to też dziś, gdy młodzież rzymska wydała odezwę do młodzieży całego świata, a w szczególności do młodzieży polskiej, zapraszającą do wzięcia udziału w uczczeniu pamięci tego „szermierza wolnej myśli i wolnej wiedzy,“ uważamy sobie za obowiązek popieranie jak najgoretsze tej myśli i sądzimy, że młodzież nasza, w której nie zamarło jeszcze gorące uczucie wolności, weźmie tę sprawę do serca i przyłączy się do manifestacyi mającej na celu obronę wolności sumienia i wolności wiedzy i zaprzeczenie tryumfu przemocy brutalnej nad siłą ducha.

Bo niech pamięta młodzież nasza, że przyjdzie niedługo czas, iż prawda i sprawiedliwość zwyciężyć muszą, a przed jej mocą, jak kłosy przed burzy powiewem, ugną się wszystkie głowy i w mitrach, i w koronach, i w infułach, i w hełmach; ale niechże ten czas zastanie nas po stronie tych, którzy zwyciężą, po stronie tych, którzy idą naprzód ku światłości.

Zresztą nadarza się nam tu sposobność godnego spłacenia długu wdzięczności za uczczenie Adama Mickiewicza i Kopernika, a spłacenie tego długu jest naszym obowiązkiem tem bardziej, że pamiętać należy, iż Giordano Bruno zginął w obronie prawd odkrytych przez naszego Kopernika.

* * *

Giordano Bruno urodził się w Nola (w Neapolitańskiem), w siedm lat po śmierci Kopernika. Z młodu oddał się stanowi duchownemu i wstąpił do zakonu Dominikanów, lecz wkrótce powziął wątpliwości co do niektórych dogmatów religijnych, a ponieważ nigdy się nie krył ze swemi przekonaniami, więc musiał uciekać przed karą kościelną. Przez długi czas przenosił się z jednego miasta do drugiego we Włoszech, i za granicą ścigany wszędzie przez Inkwizycyą. Napisał przez ten czas rozprawę „Del infinito universo e mondi;“ dalej „La cena delle ceneri,“ które były obroną uznanego za kacerski systemu Kopernika. W r. 1584 wydał filozoficzne dzieło „Della causa principio et uno“ i w tymże samym roku rzecz satyryczną „Spaccio della bestia trionfante“ czyli „Wypędzenie tryumfującego zwierzęcia.“ Bruno zebrał także wiele dat astronomicznych tyczących się pojawienia nowej gwiazdy, która zabłysła raptownie w konstellacyi Kassiopei w r. 1572.

Podczas pobytu w Anglii wykładał o wielości zamieszkałych światów i tam wydał wiele ze swych pism włoskich. W „La cena delle ceneri“ najjaśniej przedstawiają się nam przekonania Brunona. Twierdzi on tam, że Biblia nie ma na celu podawania prawd naukowych, lecz tylko rozszerzanie zasad moralnych. Że w pytaniach astronomicznych i fizycznych nie można uważać jej za powagę, i że nie można się zgodzić ze stanowiska naukowego na to, co w niej o budowie świata napisano. Że to co nazywamy sklepieniem niebios nie jest sklepieniem, po nad którem się niebo właśnie znajduje, że ziemia nie jest płaską, a że w niezmiernej przestrzeni rozrzucone są światy takie jak nasz i prawdopodobnie także zamieszkałe. Że aż do nieskończoności nie ma nic, jak tylko przestrzeń i gwiazdy. Świat cały przedstawiał sobie Bruno jako przejaw wyższej inteligencyi, która mu życie daje, jest wszędzie obecną.

Powołany z tułaczki po świecie do Wenecyi, został tam zdradziecko pojmany, wydany Rzymowi i wtrącony do więzień św. inkwizycyi. Zarzucono mu rozszerzanie kacerstwa i żądano by swe nauki odwołał. Bruno był nieugięty. Najgłówniejszym zarzutem był ten, że twierdził on, iż w przestrzeni wszechświata są i inne światy zamieszkałe, co było uważane przez Inkwizycyą za wręcz sprzeciwiające się Pismu świętemu i religii objawionej. Po dwuletniem więzieniu stanął Bruno przed sądem, który uznał go winnym, i ponieważ trwał ciągle w swych przekonaniach, oddała go św. Inkwizycya władzy świeckiej, ze zwykłą formułką: *„niech go ukarze jak można najlitościwiej i bez krwi rozlewu.“*

Bez krwi rozlewu oznaczało spalenie na stosie.

Gdy mu odczytano wyrok, odrzekł swym sędziom: „Większa was, zapewne, bojaźń przej-

muje przy wygłaszaniu tego wyroku, aniżeli mnie przy słuchaniu!“

Dnia 16go lutego 1600 roku został spalony na placu zwanym dzisiaj Campo dei Fiori. Na miejscu, gdzie był stos Bruna, ma dzisiaj stanąć jego pomnik.

SWATY NA RUSI.

(Opowiadanie byłego alumna;)

Humoreska

JANA LAMA.

(*Ciąg dalszy*).

Nie musiał atoli ks. Borodajkiewicz być mściwego usposobienia, albo też nie prędko, jeżdżąc po gościnie, zaglądnął do własnego tytoniu, a tym sposobem nie mógł wiedzieć gdzie i kiedy wyrządzono mu psotę — albowiem nietylko nie miał żalu do mnie, lecz nawet zaszczycał mię później nadzwyczajnem swojem zaufaniem. Zaraz następnej zimy, kiedyśmy właśnie kuli w muzeum *)—a byłem już wówczas teologiem czwartego roku — zapukało coś do drzwi i wsunęła się kolosalna postać, pamiętna mi z owego słotnego wieczoru na wakacyach.

— Jest tu Budzicki?—zapytał ks. Borodajkiewicz.

— Jestem!

Ksiądz zrobił wskazującym palcem prawej ręki giest przyzywający i wyprowadził mię na kurytarz.

— Żurawiński, jest? — Żurawiński, był to jeden z moich kolegów, między którym a ks. Borodajkiewiczem, o ile wiedziałem, nie zachodziły żadne stosunki znajomości, sąsiedztwa, ani przyjaźni. Miał on starszego brata, który niedawno wyświęcił się był na księdza. Wszystko to razem nie przedstawiało najmniejszego powodu, dla któregobym był miał zanegować istnienie Żurawińskiego, przyznałem tedy bez ogródki, że jest, i że w tej chwili znajduje się w muzeum.

— No, to dobrze — odparł ksiądz — przyjdźcie dziś do mnie obydwaj po południu, o 4tej godzinie, do hotelu pod Czerwonym Jeleniem. Jest tam i moja córka. Ale przyjdź i przyprowadź z sobą koniecznie Żurawińskiego. Pamiętaj, koniecznie!

Kto zna potulną ruską naturę, ten nie będzie się dziwił, że nie omieszkałem wykonać polecenia, powtarzanego z taką usilnością przez osobę poważania godną, jakkolwiek mającą słabość do cudzego tytoniu. Żurawiński dał się namówić bez trudności, i odbywszy jeszcze poprzednio, po wielkiem błocie, asystę przy jakimś pogrzebie, pojawiliśmy się o 4tej po południu w hotelu pod „Czerwonym Jeleniem“, którego nazwa sama już wskazuje, że nie należał do pierwszorzędnych Wskazano nam pokój na końcu kurytarza, do którego wszedłszy skonstatowaliśmy najpierw, że jest bardzo ciemny, po bliższem rozpatrzeniu się zaś nabyliśmy przekonania, że oprócz stołu, kanapy, pieca i łóżka, nie zawiera nic, i nikogo. Nakoniec w odległym kącie, odkryliśmy okno w głębi grubego muru, umieszczonego tak wysoko, że gwoli łatwiejszego przystępu w zagłębieniu znajdował się wysoki gradus Na tem oknie siedziała panna, której kształty i policzki świadczyły o dobroczynnym wpływie wiejskiego powietrza na jej zdrowie. Siedziała, jak mówię, ale ponieważ pomimo gradusa okno było jeszcze zawsze bardzo wysokie, i nie dostawała nogami do ziemi, więc bambałamkała **) niemi w powietrzu z ujmującą naiwnością.

Aha! to panowie! — odezwała się do nas, z równem powyższemu ruchowi *sans façon*,

Przyzwyczajony do form mniej prostodusznych i patryarchalnych, uważałem za potrzebne oświadczyć, że jestem Budzicki a to mój kolega, Żurawiński.

— To nic!—odparła nimfa bambałamkając dalej nogami.

Spojrzeliśmy po sobie, nie wiedząc czy martwić się, czy radować z powodu, że „to nic!“ — a jeszcze bardziej nie wiedząc, co począć dalej, i pocośmy tu właściwie przyszli. Z kłopotu tego wybawiła nas urocza bogini, przebywająca na wysokościach okna.

— Proszę panów siadac; tatko zaraz przyjdzie. Ale.... chachacha! tam musi być wielkie błoto w mieście, bo strach, jak się panowie *zatałapali*!

Posiadaliśmy i przyznaliśmy że jest wielkie błoto. Nie mogliśmy także zaprzeczyć oczywistemu faktowi, żeśmy się strasznie „zatałapali.“ Po tej wymianie zdań, brakło nam wszakże dalszego wątku. i była wielka cisza dokoła, wśród której „tatko“ ciągle jeszcze nie nadchodził i sytuacya stawała się coraz trudniejszą do wyjaśnienia. Dwóch alumnów w długich rewerendach i zabłoconych butach, siedzących na łóżku z niezmiernie zażenowanemi minami, i panna, nakształt pyzatej bardzo kukułki, umieszczona wysoko, wysoko, na oknie — a zresztą, głuche milczenie: oto rebus, nie łatwy do rozwiązania. Snać atoli księdzówna widziała w swojem życiu więcej zaambarasowanych alumnów, niż my panien tak wysoko siedzących, przyszła nam bowiem znowu w sukurs:

— To jest p. Żurawiński!—rzekła wstrzymując jedną nogę, a drugą *bambałamkając* wprost ku memu koledze. — A, ja znam pańskiego brata!—Nim Żurawiński, zaczerwieniony po same uszy, zdał sobie w duchu sprawę z możliwej doniosłości tego faktu, że p. Borodajkiewiczówna zna jego brata, i nim na tej zasadzie zdobył się na jaką odpowiedź, otworzyły się w końcu drzwi i wszedł ksiądz proboszcz.

— No dobrze, że jesteście! Kelner, daj no wina!

Kelner jak gdyby czekał z winem za drzwiami, przyniósł najpierw butelkę, potem wyszedł i wrócił po chwili niosąc nadtłuczony kieliszek, potem znowu wyszedł i wrócił niosąc nadtłuczoną lampkę, a ponieważ w pokoju znalazła się—wyszczerbiona także szklanka od wody, więc serwis był skompletowany i garson wyszedłszy, nie wracał więcej. Butelka nie była pełna, ale ksiądz proboszcz nalewał tak ostrożnie, że wystarczyło dla wszystkich. Zjawisko to nie rzadkie na Rusi, wszak fundusz wdów i sierót po księdzach dajmy na to, czy chce czy niechce musi wystarczyć, tylko że oczywiście, ze względu na cyfrę dzielnika, iloraz jest bardzo znikomy. Tak było i z winem przy tej okazyi, i mogę pomijając kwestyą *jakości* zapewnić, że przynajmniej ilość była nieszkodliwą. Piliśmy tedy i słuchali opowiadań ks. proboszcza kulminujących w tem, że potrzeba umieć sobie postępować z parafianami, ażeby parafia mimo szczupłej kongruy niosła dochód przyzwoity, że właśnie ks. Borodajkiewicz u siebie w Lipniczanach zastosował ten system z dobrym skutkiem, i że nakoniec, robi to wszystko nie dla siebie, ale dla swego ewentualnego zięcia, któremu ma zamiar odstąpić parafią, sam zaś osiędzie na dewocyi w Podborzu. Dowiedzieliśmy się nakoniec, że ku takiemu przeniesieniu prebendy na zięcia, bardzo mu pomocną będzie dobra znajomość, w jakiej zostaje z najprzewielebniejszym ks. pasterzem dyecezyi, jakoteż z dziekanem kapituły, i z kolatorem, od którego zależy prezenta.

Już sam fakt częstowania winem obudził był we mnie podejrzenie, że zanosi się na coś niedobrego. Niepokój mój wzrastał w miarę, jak ks. Borodajkiewicz rozwinął swoją swadę. Wtem mowca powstał, zbliżył się do mnie, i wykiwał mię palcem z pokoju na kurytarz.

— No, moja córka; a co?—zagadnął mię znienacka. Namyślałem się, czy powiedzieć kompliment, i jaki, ale ksiądz, nie czekając odpowiedzi, prawił dalej:

— Ten Żurawiński, wiesz? jego brat starał się o moję córkę. Otóż powiadam: kiedy jeden zaczął, i to starszy, to niech młodszy skończy. Ja, widzisz, sam dla siebie nic nie potrzebuję; dam mu bryczkę i konie, a znam się dobrze z biskupem, z dziekanami i z kolatorem, to oni mu dadzą Lipniczany; ja sobie osiądę u tych mnichów w Podborzu, oni mię lubią, bo wiesz, tak wysoko jak ja wezmę: *Wicznaja Pamiat*, to nikt nie potrafi, chyba jeden diak w Kutyskach, ale musi wprzód wypić kwartę wódki. Powiedz Żurawińskiemu, niech się bierze do rzeczy. Tu w zapusty będzie bal ruski, i ja przyjadę z córką, pamiętajże abyście byli obaj z Żurawińskim, to dobijemy targu!

Wróciliśmy do pokoju, pożegnaliśmy się z gospodarzem i z panną i wróciliśmy do seminaryum, a jeszcze nie przyszedłem do siebie z osłupienia, w jakie mię wprowadziło to niespodziane narzucenie mi tak delikatnej misyi dyplomatycznej. Nie było wszakże rady, prosta uczciwość nakazywała mi wyspowiadać się przed Żurawińskim, jaki był właściwie cel naszej wizyty pod Czerwonym Jeleniem. Nie wiem dlaczego — ale rozgniewał się na mnie okropnie i zwymyślał mię w sposób nieuczciwy, a co więcej, wszyscy koledzy stanęli po jego stronie, i cierpiałem dłużej i więcej niż wówczas, kiedy nam ks. Borodajkiewicz wypalił tytoń. Bóg świadkiem, że cierpiałem niesłusznie. Jużci to z jednej strony prawda, że alumnus na czwartym roku teologii ma w czem wybierać, i że podobne narzucanie mu towaru ubliża jego

*) Muzeum, pokój w seminaryach, w którym alumni oddają się nauce św. bogosłowia, czyli „kują“ P. A.

**) Bambałamkać — wykonywać przyspieszony ruch wahadłowy jak n. p. serce u mniejszego dzwonu, które wydaje odgłos: „bam-ba-lam!“ Wyraz ten poleca się uwadze zbieraczy prowincyonalizmów, ponieważ nie mamy odpowiedniego mu, a przynajmniej równie dokładnie rzecz oddającego wyrazu książkowego. P. A.

godności. Ależ z drugiej strony, nietylko księdzu, lecz i każdemu innemu śmiertelnikowi pilno się jakoś dzieje, gdy dorosła córka przez dłuższy czas nie może doczekać się męża. Nic dziwnego, że chwyta się w takich razach zbyt obcesowych sposobów. Zresztą, ja byłem zupełnie niewinnym w tej sprawie, albowiem Bóg świadkiem, że nie domyślałem się, jaki był cel zaprosin pod Czerwonego Jelenia. Bądź co bądź. nasłuchałem się tylu wymówek, że nie miło mi było nawet wspomnieć o ks. Borodajkiewiczu, a jeszcze mniej, spotkać się z nim osobiście. Nie minęło mię to atoli. (Dok. n.)

PRZYGODA W PODRÓŻY

przez

J. J. Kraszewskiego.

9 października 1873 r.

Za dawnych, szczęśliwych czasów, opis przygód doznanych w podróży z Botzen do Wiednia i wiekopomnego noclegu z d. 8 na 9. października w stolicy austro-węgierskiej, mógłby był nosić tytuł:

NIESZCZĘŚLIWA GODZINA,

czyli

JEDNA NOC W NADDUNAJSKIEJ STOLICY,

ku nauce i przestrodze nieopatrznych wędrowników spisana.

Dziś tytuły daleko w ogóle są krótsze i mniej szczegółowo zawiadamiają czytelników o tem co ich czeka, niekiedy robią im nawet siurpryzy; opowiadanie więc moje, mogłoby, ściśle biorąc, obejść się samą datą. Lecz, do rzeczy.

Z czarownej doliny nad Adygą i Passerą wyruszyliśmy d. 7 października rano, nie przeczuwając bynajmniej, ile bolesnych zawodów czeka nas w krótkiej podróży, której program był zawczasu ułożony.

Z dwóch moich towarzyszów, jeden pozostać miał w Botzen, a drugi, poczciwy płoczanin, z którym poznaliśmy się przy winogronach, losy moje podzielać aż do Wiednia, jeśli nie do Drezna.

Słońce dopiekało, na górach wisiały malowniczo oświetlone chmury, powietrze było miłe, gawędząc przebiegliśmy piękną drogę do Bolzano, minąwszy pochyloną po włosku wieżycę w Terlan, gdzieśmy, obyczajem wszystkich podróżnych, sławnego wina tyrolskiego białego pokosztowali.

W Botzen raczyli nas przyjąć pod cesarską koroną, nakarmić wcale nieźle, i o godzinie szóstej, minucie jakiejś, według nieomylnego Hentschels'telegrafu, mieliśmy wsiąść na pociąg idący z Werony do Monachium i do Wiednia. W tej miłej nadziei, spędziwszy na gawędce pod kasztanami ostatnie chwile pozostałe do otwarcia kasy, w chwili gdy się odsunęło okienko jej, pospieszyliśmy dla kupienia biletów.

W okienku ukazała się wąsata twarz urzędnika, chłodna i poważna, która na zażądanie do Wiednia, objawiła nam wyrok, że — pociąg idący po szóstej wcale nie ma żadnego związku z temi, które do Wiednia dążą. Hentschel, czy my, cośmy go źle zrozumieli — byliśmy w błędzie, należało czekać nazajutrz, do godziny dziesiątej rano!

Można sobie wyobrazić, jakie to na nas uczyniło wrażenie. Pan kasyer nasycał się zakłopotaniem naszem, jak każda poczciwa natura ludzka zwykła cieszyć się biedą bliźniego. Siedzieć sobie spokojnie za szybą i patrzeć jak się ludzie zwijają, zmęczeni i zbiedzeni, pod ciosami drobnych życia nieprzyjemności — jest w swoim rodzaju rozkoszą. Niemcy to nazywają: *pikant*. Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać w takich razach człowieka, coby okazał współczucie; — prawidłem jest uśmiech szyderski.

Koniec końców, policzone mając godziny, nie mogąc tracić drogiego czasu, postanowiliśmy jechać na Salzburg i tam wyglądać pierwszego pociągu idącego do Wiednia. Salzburg, stara arcybiskupia stolica, wart też był widzenia.

Pożegnawszy towarzysza, zapakowani do wagonu z Włochami i milczącemi jakiemiś po staciami tajemniczemi wyruszyliśmy z Bolzano. Wszystko znowu szło jak najlepiej, nie mieliśmy żadnego przeczucia przyszłości naszej, owszem najróżowsze nadzieje. Hentschel zapewniał, że staniemy w Salzburgu około ósmej rano, że pociąg do Wiednia wychodzi około drugiej po południu, a staje w stolicy naddunajskiej o dziesiątej. Udało się więc osiągnąć cel, nie stracić czasu, a zyskać oglądanie miejsca nieznajomego, bo Salzburg był nam obu terra incognita. To nam tak zrestaurowało humory, żeśmy drzemiąc i spoglądając na księżycem oświetlone krajobrazy na Brennerze, dojechali ani się opatrzywszy do Kufsteinu.

W Kufsteinie Bawarowie zabrali się z wielką gorliwością do rewizyi tłomoków, które tylko prześlizgnąć się miały przez ich terytoryum. Ledwieśmy przekonać ich potrafili, że kufry zamknięte, idące z austryackiego Bolzano do austryackiego Salzburga, niczem państwu niemieckiemu w przejeździe grozić nie mogły. Czy się obawiano ich exhalacyi! Nie wiem, dosyć że bez rewizyi się obeszło, ale nie bez oglądania fizyonomii i zbadania ich charakterystyki.

W Rosenheim przesadzono nas na inny pociąg powolniejszy, a ten pięknym porankiem jesiennym wyrzucił nas na stacyi kolei o trzy kroki od Hotelu Europejskiego, przepysznie urządzonego, jakby na przyjęcie nasze. Korzystając z czasu pojechaliśmy pokłonić się posągowi i domowi Mozarta, tunelowi arcybiskupiemu z szumnym napisem:

Te saxa loquuntur

i ślicznemu położeniu miasta.

Obowiązek sumiennego turysty nakazywał wedrzeć się na starożytny zamek, pełen śladów sztuki XV wieku, rzeźb, malowniczych zabytków, z którego wieży wierzchołka ogląda się szeroką panoramę okolicy uroczej, ale już spokojniejszej, nie mającej tego dramatycznego, namiętnego charakteru, co Merańskie dolomitowe skały.

Wróciwszy z tej wycieczki, lekką przekąską zaspokoiliśmy głód, który się nieco czuć dawał. Oba byliśmy tego zdania, że w drodze lepiej się trochę przegłodzić, a przybywszy do Wiednia w hotelu dobrą pokrzepić wieczerzą. Układaliśmy nawet, polemicznie roztrząsając każdy punkt, nasz „szpeiszettel“ wiedeński, co jeść, czego się strzedz. — Ostrzyliśmy apetyt na wiedeńskie delicye! O marne ludzkie nadzieje!

W chwili gdy kufry przybyłe z Kufsteinu przyszło odbierać i oddawać je na kolej do Wiednia — okazało się, że jednego z moich dwóch — nie było! Istniał nań kwit urzędowy, świadczący o jego egzystencyi i wadze — kufer się ulotnił — *nec locus*. Urzędnicy kolejowi, znać nawykli do podobnych wypadków, przyjęli wiadomość o tem z zimną krwią i rzymskim stoicyzmem. Ja — nieszczęśliwy właściciel, z rezygnacyą starego włóczęgi, któremu się już i to trafiało. Obawiałem się tylko, ażali los nie dotknął tego tłomoczka, w którym były rękopisma i książki. — Szczęściem padły ofiarą koszule tylko, cały zapas starych, miłych koszul z lepszych czasów, które już przyjaciołmi się nazywać mogły.

A do starych rzeczy tak się człowiek przywiązuje...

Przetrawiwszy to utrapienie, siedliśmy na pociąg pospieszny, z młodem małżeństwem, damą jakąś przyzwoitej powierzchowności i staruszkiem, który się przesiadł z klasy trzeciej z dopłatą, co mu do nieprzyjemnych sporów z konduktorem dało powód. Jakoś się to jednak złagodziło.

Pociąg pospieszny leciał na wyprzodki z wiatrami. My z towarzyszem podróży snuliśmy plany przyszłości. Mieliśmy dla większego bezpieczeństwa znalezienia od razu mieszkania zajechać wprost do hotelu Metropole, do Donau lub Taubera.

Po małym sporze zgodziliśmy się na Metropole. Ułożyliśmy sobie wieczerzę, zajęcia, godziny i w szczęśliwych zatopieni marzeniach, oglądając znowu księżycem oświecone kraje monarchii austro węgierskiej, któraby mogła być jedną z najbogatszych w świecie, gdyby umiała,— zbliżyliśmy się do stolicy.

Na myśl nikomu z nas przyjść nie mogło, po pierwszym w Wiedniu pobycie i pustkach, jakieśmy tam znaleźli, aby jakikolwiek zawód miał nas spotkać. Był to rok wystawy.

W tem zaufaniu, choć pociąg się opóźnił, co się tu regularnie codziennie trafia, jak nas zapewniano, wziąwszy fiakra o pół do jedenastej, ruszyliśmy do Hôtel Metropole.

Miasto wydało się nam wcale spokojne, uspione, nie dawało żadnej oznaki nadzwyczajnego ożywienia, noc księżycowa, nieco chłodnawa, przyświecała powolnej i długiej po ulicach wędrówce. Nakoniec oświecony cyferblat zegara ukazał się zdala. Otóż i hotel. Zbliżamy się, fiakr staje... (Dok. n.)

MARYSIA.

PRAWDZIWE OPOWIADANIE WIEŚNIACZKI

przez

Zofię Rudnicką.

(Ciąg dalszy).

Cerkiew na końcu wsi — długo więc musiałam czekać nim przyjdą, a może wydało mi się tak długo. Tak bardzo pragnęłam, aby dziecko nazwali podług mego życzenia, iż zdawało mi się, że gdy mu dadzą inne imię, to go kochać nie będę. Nareszcie przyszli. — Iwan wziął dziecko z rąk Małanki, która je z cerkwi niosła, przystąpił do mnie, a kładąc je obok mnie na poduszce, powiedział:

— Fedio się nazywa, niechże mi przynajmniej rośnie.

— I widać Bóg przyjął tę ofiarę, jaką mąż twój zrobił dla dziecka, bo Fedio wyrósł na ślicznego chłopca — przerwałam opowiadającej.

— Jak to pani pięknie powiedzieli. Tak! przyjął Bóg i malec rósł jak z wody, a imię, którego tyle lat ani Iwan ani ja nie wymówiliśmy nigdy, rozlegało się teraz po cha-

*

cie naszej i podwórzu. Potem jeszcze dał pan Bóg córkę i ta się już chowała. Znają pani przecież i ją, wydaną już dzisiaj. I tak już mi się tych dwoje dzieci chowało, toż mi poweselało trochę życie. — I gdybym tylko mogła była wiedzieć, gdzie się mój Fedio znajduje, czy żyje, bo chociaż nigdy nie czułam tego w sercu, żeby on umarł, to przecież, gdyby się był ktoś taki we wsi pokazał, któryby mi powiedział: „Żyje — widziałem go“, toby to było wielkiem szczęściem dla mnie, ale gdzie tam, już druga branka zaczęła z abszytami powracać, a o nim ani słychu. A czas biegł i biegł! Dzieci miały już po parę lat, już były jak to mówią podchowane. Iwan zamyślał o stawianiu chaty. We dworze poszywano stodołę, zgodził się hurtem do tej roboty i miał za to dostać materyału budulcowego. Już nareszcie i kończył — jeszcze roboty było na tydzień. Pamiętam raz w poniedziałek, poszedł jak zawsze do dworu, dzieci pobiegły do sąsiady bawić się, a ja wyszłam na staw z bielizną. Było to na wiosnę, i chociaż już sucho i ciepło było, przecież piorąc parę godzin ziębłam; przyszedłszy do chaty, siadłam pod piecem. Siadłam i zamyśliłam się swoim zwyczajem. Gdzie też się Fedio obraca? Między jakimi on ludźmi? Czy ma jakie przychylne serce koło siebie? Czy też mnie wspomni choć czasem. Ten żal, który już tyle lat nosiłam w sercu, zaczął je ściskać i łzy do oczu naganiać. Zawsze to bywało tak, że gdy mam tylko czas wolny, w święto albo w niedzielę, i siądę sobie sama gdzieś cicho, a zacznę myśleć i myśleć, to się kończy płaczem, w dniu roboczym, choć go nigdy nie zapominałam, to nie było czasu na łzy. To też i teraz, chociaż to był dzień powszedni, jak dziś pamiętam — poniedziałek, ale siadłszy cicho koło pieca dla ogrzania się, zaczęły mnie te myśli napadać. Wtem drzwi się otwierają i staje na progu — siostra Fediowa. Nie wiem dla czego, bom ją przecież niemal dnia każdego widywała, nawet często bardzo przychodziła do mnie, więc — jak mówię — nie wiem dla czego, serce mi się szarpnęło — zerwałam się z ławy i zawołałam: — Fedio! co się z nim stało? Widział go kto? pisał kto?

— Nie, nic się nie stało, na co miał kto pisać, — on sam przyszedł — jest w chacie i czeka na ciebie. Nie chciał tu iść, bo nie chciał widzieć Iwana.

Mnie tak coś w piersiach stuknęło, żem ten stuk uchem usłyszała — zapomniałam o mężu, o dzieciach, o wszystkiem i wszystkich, i dziś to czuję, że gdyby mnie był kto wtedy zapytał: Wybieraj między jednym uściskiem tego, który tam czeka na ciebie, a mężem i dziećmi, tobym była nie obejrzawszy się na nich wszystko troje, pobiegła do niego, — tem bardziej, gdy mnie nikt nie pytał i wybierać nie kazał. Tak jak stałam, wybiegłam z chaty. Szczęściem był to poniedziałek, miałam więc na sobie bialutenką cienką koszulę, pąsową spodnicę, pąsową chustkę turecką, niebieski fartuszek i korale na szyi — powiadam, „szczęściem“ bom wtenczas nie pomyślała, aby się ogarnąć i przyodziać, a on przecież nie widział mnie długie lata; gdyśmy się pożegnali w tę nieszczęsną wielkanoc, miałam zaledwie lat 18, a teraz gdy powracał drugie tyle, bo to już 18 lat upłynęło od tej chwili, to razem około 40stu.

— Nie, moja Marysiu, miałaś dopiero 36.

— No, zapewnie, pani to lepiej wiedzą, ale to zawsze nie te lata, które miałam, gdy on mię kochał. Ale to wszystko tom już potem myślała, że to szczęście, żem mu się po tylu latach przynajmniej przystojnie ubrana pokazała, bo wtedy, gdym biegła do jego chaty, to nic nie myślałam, ani nawet czy mnie pozna. Biegłam i zdawało mi się, że biegnę bez końca, a tchu mi nie stawało. I to dziwna rzecz, że ani razu nie przyszedł mi mąż na myśl. Wbiegłam nareszcie na podwórze — do sieni, otworzyłam drzwi, ale już z progu postąpić nie mogłam, — siła mnie opuściła. Zobaczyłam go. Stał w mundurze ułańskim, oparty ręką o gzyms pieca; na skrzypnięcie drzwi podniósł głowę, spojrzał na mnie, krzyknął i rzucił mi się na szyję, przycisnął do siebie, ale nie całował, oparł tylko swoją głowę na moje ramię tak, że moje usta dotykały jego włosów i zaczął się śmiać, z początku po cichu, potem coraz głośniej — głośniej — głośniej, aż się zachodził, a taki to był straszny śmiech, iż zdawało mi się, że w tym śmiechu skona mi w ramionach. Z początku także odurzona do nieprzytomności powitaniem, wytrzeźwiałam tym jego strasznym śmiechem! Zaczęłam wołać: wody! wody! Brat jego, siostra, którzy byli w chacie, przyskoczyli, chcieli go oderwać odemnie, ale ręce miał tak zaciśnięte, że mu ich rozpleść nie mogli. Zaczęli go wodą zlewać, jam go uspokoiła, przemawiała do niego, tak jak bywało dawniej.

— Mój Fediu! mój sokole! to ja Marysia twoja, uspokój się! Bóg łaskaw że się widzimy! I jakoś powoli, powoli uspokoił się, posadziliśmy go na ławie — ja siadłam koło niego. Nic mnie nie pytał, dlaczego poszłam za mąż? kiedy? czy Iwan dobry dla mnie, czy mam dzieci, nic a nic. — Tylko mi powiedział, że musiał przyjść zobaczyć mnie jeszcze raz, jeszcze raz uścisnąć, nim umrze, że bardzo mu żyć ciężko, że pójdzie znowu w świat i nie wróci więcej.

— Nie, Fediu! nie, mój sokole, ty zostaniesz we wsi, żebym ja mogła choć czasem, choć z daleka zobaczyć ciebie!

— Marysiu! czy to prawda, że ja ci jeszcze taki drogi, żeś ty mnie całkiem nie zapomniała?

Jam się rozpłakała, bo czyż mogłam mu to wszystko powtórzyć, com przez te lata przecierpiała. On mnie po dawnemu objął i całując uspokajał, i na chwilę wydało się nam żeśmy młodzi; on 20 letnim chłopcem, a ja 18 letnią dziewczyną.

Wtem ozwał się dzwon dzwoniący na południe. Zerwałam się z ławy, przypomniałam sobie, że mąż przyjdzie z roboty, dzieci przybiegną, że im trzeba dać jeść. Powiedziałam to Fediowi: Muszę iść, mąż czeka na południenek.

I wychodziłam z chaty, on mnie nie zatrzymywał ale szedł za mną, wyszedł do sieni, na podwórze, za wrota, myślałam, że się wróci — gdzietam, idzie koło mnie drogą. Strach mnie zebrał, nie dla mnie ale dla mego. Proszę go żeby się wrócił, on mi mówi, że nie może; przystanęłam, znowu proszę, powiadam mu, że Iwan nie powinien tak go od razu i to ze mną zobaczyć.

— Dlaczego nie? Wszakże on wie, że czy daleko, czy blizko, ja ciebie kocham.

— Właśnie dlatego, że wie — on by cię zabił.

— To niech mnie zabije! Mnie już tego życia zanadto.

— Fediu! — zawołałam, a czułam że mi się iskry z oczu posypały. — On nim cię zabije, musi rękę podnieść na ciebie, a wtedy ja wprzód jego a potem siebie pchnę nożem, — pamiętaj więc! żebyś nie miał mojej śmierci na sumieniu, bo ja mam drobne dzieci!

On patrzył na mnie.

— To ty go nie kochasz?

— Jam prócz ciebie nigdy nikogo nie kochała, bom nie mogła, lecz gdybym mogła była kochać, to tylko jego, bo dobry jest jak anioł.

— Więc dobry jest dla ciebie!

— Mówię ci, że jest dobry jak anioł.

— Niech go Bóg błogosławi, powiedział i wrócił się do swojej chaty.

— Fediu! ale ty nie pójdziesz? — zawołałam za nim.

— Nie dziś jeszcze — szepnął prawie ale już się nie obejrzał.

Pobiegłam do domu. Gdyśmy wyszli oboje z jego chaty i zatrzymali się chwilę we wrotach, gdyż myślałam, że mnie tam pożegna, przeszła koło nas Naścia, ta sama, o której już pani mówiłam, włóczyła się po żydach, piła, jednem słowem ladaco. Przeszła — przyspieszyła kroku, biegła prawie, a nie skręciła koło karczmy i stawu drogą do miasta — myślałam, że się tam tak spieszy — ale prosto w ulicę prowadzącą do pańskiego gumna i stodół. Nie myślałam wtedy, że to zdrada. Przecież wchodząc do domu serce biło mi gwałtownie, jak gdybym zrobiła co złego. Weszłam — Iwan stał na środku chaty. Taki był zmieniony, iż zaledwie mogłam go poznać. Brwi ściągnięte — spojrzenie chmurne — nigdy nie widziałam go takim, w największych smutkach, w niedostatkach, w kłopotach zawsze miał dla mnie uśmiech i życzliwe słowo. Iwan zaraz przystąpił o krok i zapytał ostro:

— Dokąd chodziłaś, gdzieś była?

Uczułam, że kłamiąc, stałabym się winną — dotąd nią nie byłam, odpowiedziałam więc wprost:

— Fedio przyszedł.

— I tys była u niego? w jego chacie?

— Byłam.

Iwan zatrząsł się cały, oczy zabłysły mu takim gniewem, jakiego ani u niego ani u nikogo nie widziałam. Podniósł rękę i w tej chwili spadł na mnie raz jeden i drugi grubego pręta. I ja nigdy palcem nie tknięta, pieszczona przez rodziców, a potem tyle lat przez niego, bo mogę powiedzieć, że mi marnego słowa nigdy nie dał, stałam teraz pod jego razami, nie czując ich prawie, nie oburzyłam się ani przestraszyłam. Nie wiem sama dlaczego, czy to, że nic teraz czuć nie mogłam, oprócz że on żyje, żem go widziała, że miałam go przy sercu swojem, czy że mąż był w swojem prawie, że nie czynił mi niesprawiedliwości, karząc za miłość, której przecież ani mogłam ani chcia-

łam się zaprzeć. Wtem otwierają się drzwi z trzaskiem i Fedio mój, mój sokół serdeczny, wpada do chaty z załamanemi rękami:

(C. d. n.)

SPRAWA KAZAŃSKA.

przez

Z. O.

(*Ciąg dalszy.*)

Ksiądz z natury poczciwy i zacny człowiek, zagrzany ogniem młodzieńców polskich, zwraca się do pułkownika i objaśnia mu ze swojej strony, że Polacy ci raz już przysięgli w intencyi wprost przeciwnej, dla tego obecnie ze względów religijnych sprzeciwiają się złożeniu odmiennej przysięgi, łamiącej pierwszą i wiodącej do grzechu krzywoprzysięstwa.

Moskale oburzeni tem więcej, nakazują księdzu wpłynąć na upór rekrutów i zmusić ich groźbą, w przeciwnym razie i ksiądz ulegnie karze za podzielanie buntowniczych objawów Polaków.

Ksiądz odpowiedział stanowczo, że się nie podejmuje tej misyi, albowiem ona sprzeciwia się prawom religijnym, co nawet sam *Synod* petersburgski potwierdzić może.

Zatrząsł się cały sztab na taką odpowiedź. Pułkownik zgrzytnął zębami, a krzycząc: *won miatieżniki*, nakazał adjutantowi, aby cała kompania wojska z nabitą bronią odprowadziła rekrutów nie do koszar, ale do więzień cywilnych.

Gdy ujrzeli się Kazańczycy wśród brudnych i wilgotnych murów więzień, przeznaczonych dla zbrodniarzy cywilnych, doznali pewnej radości, że cechę sołdacką z nich zdzierać poczęto i że nakoniec będą uważani jako polscy więźniowie, ale i tutaj mara sołdata nie opuszczała ich; utrzymanie, choć w więzieniu, i traktowanie było zupełnie wojskowe. Po dwumiesięcznem zamknięciu znów ich zawezwano do śledztwa i spisania protokołów, do którego to celu przysłany był odrębny oficer gen. sztabu. Przybył także i generał dywizyi Tetierewników, istny zwierz z charakteru i z układu zewnętrznego, czystej krwi Turanin i sołdat Mikołajewski. Przywiózł on z sobą jeszcze raz księdza próbując podstępów i chytrości, aby wymódz żądaną przysięgę od Kazańczyków. Po długich namowach, obietnicach i groźbach udało się Tetierewnikowi nakłonić *jednego* z Kazańczyków*), a stawiając go za przykład kolegom, nie szczędził niedorzecznych przekonywań i upewnień, że przed każdym uśmiechają się w przyszłości szlify i szarfy oficerskie. Takiemi przedstawieniami młodzież jeszcze więcej oburzoną została; co wywołało wystąpienie kilku ze śmiałą odpowiedzią generałowi, że szlify tylko dla głupich i niewolników mają ponętę. Na co Tetierewnikow odsłoniwszy piersi okryte orderami i wskazując na nie zawrzasnął: „A więc nie chcecie być moimi braćmi?“ A odebrawszy stanowczą i spokojną odpowiedź: „nie,“ wściekając się prawie wydał rozkaz odesłania ich do Kazania pod sąd polowy.

Było to w końcu listopada 1863 r., mrozy dochodziły do 30 stopni, zima była nawet dla przyzwyczajonych mieszkańców zbyt silną i ostrą; zamkniętych dotąd w więzieniach Kazańczyków kazano przygotować do marszu. Tak jak siedzieli w letnich mundurach, tak ich wyprowadzono otaczając konwojem do drogi przygotowanym.

*) Był to jeden z rzemieślników pochodzenia niemieckiego.

Temu wyprowadzeniu więźniów byli przytomni wszyscy oficerowie ze swoim pułkownikiem Bagratyonem i generałem Tetierewnikowym. Pułkownik zrobił uwagę generałowi, że według praw aresztanckich należy się im do drogi odzież cieplejsza, ofuknął się jednakże generał mówiąc, że dla takich s..... s..... car nie ma ciepłego odzienia, i że zupełnie wszystko jedno, czy żywi lub nieżywi doprowadzeni zostaną do Kazania. Poprowadzono ich i po przybyciu do Kazania poprzemarzane ręce i nogi niektórym musiano amputować.

W Kazaniu zamknięto ich znowu w więzieniach dając na utrzymanie dziennie po 4 kopiejki bez żadnych innych dodatków. Przy takim żołdzie Kazańczycy z wygłodnienia byli przymuszeni zbierać okruchy po dziedzińcu; za trzy kopiejki kupowali sobie chleb, a jednę kopiejkę oddawano do menażu, aby jaką zupę ciepłą spożywać można było. Te kopiejki przeznaczone na zupę, składali Kazańczycy do rąk Moskala, zajmującego się gospodarką, w więzieniu zwanego *Artielszczykiem*, musiał i ten według wrodzonego pociągu część tych sum zachować dla siebie, a tak dopiero za pozostające kilkanaście kopiejek skupował rozmaite padliny, w których łby końskie przeważały, i przyrządzał obiady dla ginących z głodu Kazańczyków.

W Kazańskich więzieniach widocznie Moskale postanowili tych biedaków zamęczyć, zostawiono ich w zupełnem zaniedbaniu, w jednych i tych samych warunkach życia przez 10 miesięcy. Gdyby choć spokój wycieńczonym z sił zostawili, ale i tego nie było. W ciągu tego czasu wzywano ich bezustannie do śledczych komisyj; a po upływie roku odczytano im pierwszy wyrok sądu polowego, który skazywał szlachtę na służbę w wojsku, a mianowicie w karnych batalionach orenburgskich, nieszlachtę zaś na 16 lat służby w aresztanckich rotach. Wzmiankowaną dopiero sentencyą odesłano do szczególnego potwierdzenia carskiego do Petersburga.

Nim jednakże powróciły konfirmacye, co trwało kilka miesięcy, przez ten czas Kazańczycy trzymani byli w więzieniu. Z całej tej partyi z trzydziestu czterech — siedmiu słabszych na duchu, niemogących wytrzymać takiej niedoli, oznajmiło, że chcą przysiądz na wierność carowi i pozostać w wojsku.

Ucieszone władze moskiewskie, że się im udało przełamać opór Polaków, telegrafują bezzwłocznie do Petersburga donosząc, że Polacy upokarzać się zaczynają i że siedmiu pragnie poprzysiądz wierność monarsze. Wysyłają w odpowiedź z Petersburga fliegel-adjutanta generała Merchelewicza do Kazania, aby ten rozpatrzył całą sprawę, ciągnącą się już teraz blisko dwa lata, i o szczegółach zaraz doniósł carowi.

(Dok. nast.)

Listy z Anglii.

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(*Dokończenie*).

Nie darmo pisali bakałarze, że stoimy na progu burzącej epoki. Ikonoklaści znajdują nawet plamy w królewskiem słońcu. Oni sarkają, że najjaśniejsza pani nie wydaje dość pieniędzy w Londynie, zarazem z dziwnym brakiem logiki, wyrzucając księciu Wallii, iż się rujnuje tutaj. Narzekają, iż królowa usuwa się od świata, zaniedbuje nawet sprawy publiczne, zasklepia się w swojej Szkocyi ukochanej, objeżdżając chaty chorych chłopków i zapominając o monarszych obowiązkach, aby odgrywać rolę siostry miłosierdzia. Odzywają się też głosy, iż jeżeli obchodzimy się tak wyśmienicie przez 9 miesięcy co roku bez królowej i dworu, moglibyśmy na zawsze pozostać bez tej kosztownej ozdoby. Pamięć cnót i dawniejszej działalności królowej zaciera się. Droga księcia Wallii po zgonie matki i po własnej koronacyi nie będzie wyścieloną różami. Zaiste, jest to epoka ikonoklastów, a książe nie umie łagodzić cierpkiego ducha czasu, pomimo, iż wysługuje się jak umie, kładzie węgielne kamienie na zawołanie, prezyduje na wszystkich ucztach, prawi mówki, otwiera zakłady publiczne.

Niedawno widziałem go, gdy jechał na otwarcie koszar dla robotników. Koszary tego rodzaju mnożą się w Londynie. Szczęśliwi robotnicy londyńscy godni są waszej zazdrości, o synowie Lwowa, narzekający w ciemnicach na drogie komorne. Londyn wali brudne, przeludnione zaułki, nie tak gwałtownie jak śp. Haussman w Paryżu, lecz z większem uwzględnieniem ludu roboczego. Natomiast buduje on gmachy czyste, jasne, przewiewne, z drenami, klosetami, gazem i wodociągiem na każdem piątrze, piękne na kształt pałaców przy Opernringu. W nich może wyrobnik mieszkać w schludnej izbie za 10 szyllingów miesięcznie (5 złr.), a uboga rodzina zajmuje 3—4 komnaty za funta szter. na miesiąc. Jednakże domy te przynoszą filantropom 5 od sta czystej intraty!

Wracając do królowej, wyznam, że na wtorkowej rewii zaledwie ją poznałem w otyłej matronie, w żałobnej sukni i ze smutniejszą, znudzoną twarzą. Dwór też zmienił się niepochlebnie od lat kilku, lecz ubiera się jak dawniej — najniesmaczniej ze wszystkich dworów. Brak gustu właściwy królowej Wiktoryi w tym względzie przeszedł na cały wyższy świat angielski. Odziedziczyły go też córki królowej. Księżniczka Beatryca przypominała mi, nawet obok matki w żałobie, pannę respektową, albo ubogą krewną. Damy angielskie nie mają oka dla harmonii barw, a ta bogata arystokracya razi wybredne oko, przyzwyczajone do skromnego smaku Francuzek, Warszawianek, chociażby Amerykanek.

Jedna rzecz zachwyciła mnie w paniach angielskich. Kobiecy ich instynkt zgadł po której stronie słuszność leży w obecnej walce, a sympatyi swoich nie kryją. Niedawno siedziałem podczas długiego, wystawnego obiadu pomiędzy parą niewieścich Turkofilów, które zamąciły mi głowę politycznemi deklamacyami. Pamiętam jednakże ich wyrazy sympatyi dla nas, a że ogół wykształconych Angielek je podziela, dowodzi literatura powieściowa. Wchodzimy w modę u tutejszych nowelistów, a nie piszą o nas jak Niemcy, albo Francuzi makmahońskiej epoki, schlebiający Rossyi. Powieść „Błękitne róże, czyli ślub Heleny Malinowskiej,“ przyjęta tak pochlebnie przez krytykę, doczekała się drugiego wydania. Żaden z naszych własnych pisarzy nie stworzył szlachetniejszego typu młodej Polki, niż bezimienna autorka angielska, w owej Helenie Malinowskiej. Panna Kathleen (Kasia) O' Meara, lepiej znana pod pseudonimem Grace Ramsey, napisała także powieść na tle stosunków w Kró-

lestwie, który kraj poznała autorka naocznie. Przedstawia ona nasze społeczeństwo pochlebnie, naszę niedolę rzetelnie. Dzieło wyjdzie nakładem katolickiej, londyńskiej firmy Berns i Oats. „Błękitne róże“ (Blue Roses) można nabyć u londyńskich wydawców Henry S. King i Ska. Poemat Alfreda Austina, Jęk nad męczonym narodem, nie wyszedł — jak spodziewałem się — w Fortnightly Magazine, ale w osobnym tomiku. Karasowskiego niemieckie dzieło o życiu Chopina, zyskało uznanie w krytycznych pismach angielskich i tłumaczą je. Dotąd wiedzieli Anglicy tylko tyle o Chopinie, ile napisał Liszt, i ile pani Walker Cook — tłumacząc Liszta — dodała w przedmowie. Dzieło to miało liczne wydania.

Potrąciwszy o imiona polskie, nie zawadzi oznajmić w kraju, iż prawnicy angielscy poszukują za pośrednictwem „Times'a“ pannę Helenę Zakrzewską, lekarza, podobno w sprawie sukcesyjnej. „Times“ też anonsował do niedawna w imieniu fiskusa, o spadkobierców pani Heleny Blacke, która zostawiła 140.000 funtów szter. Lwów posiada podobno pretendenta do tej spuścizny, który powinien zgłosić się wprost do fiskusa królowej. (Solicitor of the Treasury.)

W poprzednim liście wspomniałem o rzadkim fenomenie w Anglii, wystąpieniu prokuratora przeciw wydawcy. Adwokata królowej zmusiło do tej niedorzeczności pewne stowarzyszenie purystów. Proces ten skończył się wyrokiem grzywien i uwięzieniem dla pana Bradlaugh i pani Besant, wydawców dziełka amerykańskiego, podającego francuskie i amerykańskie praktyki, celem urzeczywistnienia zasad Malthusa. Prokurator i sędzia publicznie żalili się na przymus w prześladowaniu drukarzy. Proces posłużył za reklamę dla dziełniego dziwnych, zwrócił na nie uwagę niewinnej młodzieży. Bradlaugh i wspólnicy uchodzą za męczenników zasady wolności druku, w oczach pewnej warstwy. Ich antisocyalne dziełko, nieznane przedtem, rozeszło się w przeciągu miesiąca w liczbie 120.000 egzemplarzy i wciąż je sprzedają.

Jeszcze większy skandal wywołał pewien żarliwy lord protestancki, wprowadzając przed szranki izby parów dzieło wydane przez rytualistów, zachęcające do wznowienia spowiedzi w Anglii. Podaje ono też skazówki kapłanom angliańskim, w jaki sposób wypada indagować grzeszników, mianowicie kobiety i młodzież. Najobrzydliwsze wycinki z tej książki przedrukowali spekulanci. Trudno wyjść na ulicę bez zgorszenia, gdyż przekupnie narzucają się z temi ckliwościami wbrew czujności policyi.

Sprawozdania z procesu de Tourville'a rozeszły się w niezliczonych egzemplarzach. Żadna *cause celèbre* nie obchodziła Anglików żywiej. Gazety tutejsze wyrażają się niepochlebnie o sposobach austryackich w indagowaniu oskarżonego, budzeniu ku niemu niechęci przysięgłych przez wywlekanie na jaw jego przeszłości, oraz wglądania w zdarzenia, nie związane bezpośrednio ze zbrodnią. W Anglii dopiero wtedy wgląda sędzia w przeszłość podsądnego, gdy przystępuje do wymiaru kary na osobie uznanej winną zbrodni. Tok żywota winowajcy przed spełnieniem występku nie opisują przysięgłym, nie indagują też oskarżonego. Lecz co kraj, to obyczaj. Pomimo krytyki, angielskie pisma przyznają słuszność wyroku wydanego w Botzen.

Wojna sprzyja tu dziennikom, jak wszędzie. „Daily Telegraph“ sprzedaje 300.000 egzemplarzy dziennie, „Standard“ 200.000. Obydwa pisma sprzyjają Turcyi. „Daily News,“ *plus russe que les Russes*, także kwitnie, dzięki uprzywilejowanym korespondentom w głównej kwaterze wielkiego księcia Mikołaja.

Na rewii spotkałem jednego z korespondentów nowojorskiego „Timesa,“ który powrócił ze Wschodu dla zdrowia. Opowiada on zabawne anegdoty o zgrai gazeciarzy, wałęsającej się wojskami. Niektórzy z tych panów żyją wystawniej od wodzów. Pewien angielski korespondent wozi ze sobą spiżarnię i piwnicę tak dobrze zaopatrzoną, iż zawiera 25 ćwierci ziemniaków. Naczelny korespondent „Daily Telegraph“ w Stambule żyje w stylu ambasadora, ma nieograniczony kredyt w banku i kupuje informacye bez względu na koszt. Hany w Adryanopolu zapełniają angielscy turyści, ku krzywdzie Szwajcaryi. „Mont Blanc“ i „Jungfrau“ dumają samotnie nad ekscentrycznością ludzi, co pobiegli patrzyć na bardziej senzacyjne zjawiska w Bałkanach.

Ekscentryczność angielska kwitnie więc na Wschodzie. Zawdzięczamy jej podobno nie mało wiadomości o toku wojny. Przyznam nawiasem, że lubię ekscentryczne wybryki tych wyspiarzy. Ludzie tego rodzaju nie są miłymi towarzyszami, lecz każdy z nich jest chodzącym protestem przeciw monotonnej powodzi, co w innych społeczeństwach unosi wszystkich na swoim prądzie, zaciera i równa każdą indywidualność. Ile też Anglia i świat zawdzięczają ekscentrycznym, protestującym, pluskającym w powodzi jednostkom, których wybryki, protesta i pluski budzą ogół do myśli i reform!

Traktowanie pacholąt w narodowych pensyonatach angielskich wymagało od dawna surowej i stanowczej reformy. Przed kilku dniami popełnił chłopak dwunastoletni samobójstwo w wielkim zakładzie londyńskim, zwanym „szkołą błękitnych kaftanów.“ Dziatwa z tego zakładu zwraca często uwagę turystów swoim średniowiecznym strojem, niezmienionym od panowania Henryków. Samobójstwo to, równie przykre jak katastrofa Ausübla w Krakowie, zwróciło uwagę parlamentu i zjedna zmianę w trybie traktowania młodzieży angielskiej w szkołach.

Na zakończenie listu wspomnę, iż Anglia oczekuje dostojnych gości, w osobach ambasadorów króla Dahomeju. Cała garderoba tych dyplomatów składa się podobno z fartuszków. Przybędą skutkiem przekonania jego kannibalskiej mości, iż najpotężniejszy król na kuli ziemskiej powinien zaprzyjaźnić się z najpotężniejszą królową. Niedawno nałożyli Anglicy grzywny na tego monarchę. Haracz zapłacili właśni ich ziomkowie handlujący w Dahomeju, byleby przerwać blokadę psującą ich interesa. Trafiła kosa na kamień!

Inny, straszny gość, widziany już pod Kolonią, ku popłochowi całych Niemiec, zjawił się w Dublinie, w postaci niszczyciela ziemniaków, znanego w Ameryce pod nazwą „chrząszcza z Kolorado.“ Plaga ta będzie okropniejszą od pamiętnej zgnilizny, która i u nas wywołała klęskę głodu pomiędzy ludem wiejskim. Znam ją z przykrego doświadczenia i ostrzegam przed nią. W Ameryce znają tylko dwa sposoby, równie niebezpieczne w tępieniu tego obrzydliwego owadu. Pierwszy polega na polewaniu łodyg nawiedzonych chrząszczami arszenikową trucizną, zwaną tam Parisgrün, druga na strącaniu owadów znalezionych każdego poranka do naczyń z wrzącą wodą. Chrząszczyki zawierają straszny jad, który sprawia często spuchnięcie ręki, a nawet śmierć okropną. Pewien rodak nasz w Winonie, w kolonii polskiej w Minnesocie, umarł według urzędowego śledztwa skutkiem zatrucia przy zbieraniu tych owadów, których podobno żadna przezorność nie wstrzyma od nawiedzenia łanów europejskich.

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY
w przedrewolucyjnym okresie
XVIII stulecia.

przez

DRA BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Argumenta te dobroczynnego filozofa, potępiające niewolę stanu włościańskiego, nie przebrzmiały bez śladu. Familia Czartoryskich programatem swoim politycznym objęła także i ograniczenie przywileju szlachty względem poddanych. Udało się jej nawet na sejmie konwokacyjnym 1764 r. przy organizacyi komisyi sprawiedliwości, przeprowadzić artykuł, rozciągający prawną opiekę nad powinnościami wiejskiego ludu. Wybrany na króla, Stanisław Poniatowski, hołdując nowym przekonaniom, oświadczał, że „póki dziedzic przywłaszcza moc życia i śmierci nad poddanym, póki trochę pieniędzmi odkupić można zabójstwo chłopa, póty nie ma w duszy swojej spokojności, póty nie śmie słyszeć od cudzoziemców o naszym narodzie, któremu nikczemne kupno bezkarności wyrzucać można“ *). Jakoż istotnie chętnie popierał wszelkie usiłowania, prowadzące do poprawienia losu włościan. Podczas reformy 1768 r., krępowanej złą wolą rządu rosyjskiego, tam gdzie zostawiono narodowi swobodę działania większością głosów, a mianowicie w dziale materyj ekonomicznych, odjęto panom prawo życia i śmierci nad chłopami, skasowano główszczyznę i wyznaczono karę śmierci za zabicie włościanina **). W dobrach skarbowych przyznano włościanom wieczystą dzierżawę i ubezpieczono ją inwentarzami i lustracyami. Po starostwach wznowiono sądy ławników.

Do tej naprawy stosunków społecznych,

*) Str. 212 T. II. O literackich i polskich prawach — Tadeusza Czackiego. Warszawa, 1801 r. Troskliwość Stanisława Poniatowskiego o polepszenie włościan znajdowała poparcie i uznanie w kraju. „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ zamieściły w 1777 r. z powodu imienin króla: „List Kazimierza Wielkiego do Stanisława Augusta“, w którym czytamy:

Cieszę się, iż do tego przykładasz staranie,
By się mogli mieć dobrze pracowni ziemianie.
Jeśli naród ma szczęście i dostatek chleba,
Im to samym z podzięką przypisać potrzeba.
Z tem wszystkiem ci kochani dobroczyńcy kraju
Z niewdzięcznego przyjmują wzgardę obyczaju.
Dotychczas zostawali w Polsce zaniedbani,
Będąc u swoich panów dla jarzma i dani.
A z których kraj jedynie żył znoju i pracy,
Klęli swój los dotychmiast ci biedni rodacy.
Str. 303.

**) „Całość dominii et proprietatis stanu szlacheckiego nad dobrami ziemskiemi dziedzicznemi i ich poddanymi, według praw statutowych, nigdy odejmowana ani zmniejszana być nie ma. Jus jednak vitae et necis poddanego w ręku dziedzica być nie ma, lecz gdy poddany kryminał popełni, do sądu grodzkiego lub ziemskiego w miastach większych oddany być powinien.“ (Vol Leg. T. VII §. XIX).... „tak gdyby się trafiło, żeby szlachcic chłopa złośliwie i nie przypadkowo zabił, tedy takowy nie już zapłaceniem i główszczyzną temu, komu on był poddanym, lecz utratą własnej głowy swojej karany w sądzie przyzwoitym być powinien.“ (§. XX.)

opartych na strasznem nadużyciu, dołączyły się i prywatne usiłowania. Pierwszy przykład z pomiędzy szlachty dał w tym względzie Andrzej Zamojski, który jeszcze 1760 r. wprowadził ulepszenia stosunków poddańczych w kluczu swym Bieżuńskim na Mazowszu (w powiecie mławskim), zamieniając pańszczyznę na czynsze i połownictwo. Co lat pięć spisywano powinności włościan, i na podstawie tego układano kontrakt między właścicielem i kmieciami. Zorganizowano pewnego rodzaju autonomią zarządu gromadzkiego, lubo pod bezpośrednią władzą dworu. Dominium zachęcało gospodarzy, by młodszych swych synów oddawali do rzemiosła. „Stan chłopa—pisze Cooxe, podróżujący w kilkanaście lat potem po Polsce — tak się polepszył po nadaniu mu wolności, że nietylko sam zaspokaja swoje potrzeby, niegdyś zaopatrywane przez pana, ale nawet płaci chętnie czynsz roczny za pańszczyznę dawniejszą. W ten sposób dochody Zamojskiego pomnożyły się w trójnasób.“ [1]) Na Litwie ks. Paweł Brzostowski, referendarz litewski, rozpoczął w 1767 r. sprawę usamowolnienia włościan, wprowadzając nowe porządki do majątku swojego, Pawłowa, o cztery mile od Wilna położonego. W 1769 r. 10 marca zawiązał on rzeczpospolitą pawłowską, a w urządzeniu jej brał wzory z instytucyi swych ojczystych. Corocznie pan z urzędem i gospodarze wiejscy zbierali się dla narad nad sprawami gromady na tak zwaną komisyą (sejm). Pan z urzędem stanowił izbę wyższą; a gmina z przewodniczącym, wyznaczonym od dworu, izbę niższą. Urządzająca stosunki pawłowskie ustawa składała się z ośmiu oddzielnych artykułów: 1) powinność chrześciańska, 2) urzędy, 3) sprawiedliwość, 4) ostrzeżenie w sądach, 5) milicya ziemiańska, 6) szkoła i lekarz, 7) należność od włościan, 8) zabezpieczenie. Chłopi otrzymali wolność osobistą. Gospodarz, skoro tylko umieścił na gruncie swoim innego wolnego człowieka, stawał się zupełnie wolny; a wynosząc się z dziedzictwa, mógł sprzedać swój budynek. Zobowiązania pomiędzy właścicielem i ludem od niego zależnym należycie określono i uznano za nienaruszalne. Gmina prowadziła sama administracyą i posiadała władzę ustawodawczą. Sam Brzostowski zastrzegł tylko sobie dożywotnią prezydenturę. Na utrzymanie felczera i dyrektora (t. j. nauczyciela) zapisał on 30000 złp., oparłszy je na własnym majątku. Szkołę — jak świadczą współcześni — utrzymywano na dobrej stopie. Milicya, zorganizowana z ludności pawłowskiej, pilnowała porządku a w razie potrzeby miała służyć ku obronie Rzeczypospolitej. Konstytucyę tę pawłowską zatwierdził sejm czteroletni 4. kwietnia 1791 r. [2]) Ile z wiadomości — powiada Wybicki — na miejscu poznać mogłem, że przynajmniej w trójnasób ludność w tej się powiększyła włości.“ [1]) Opisawszy okropny stan wieśniaka na Litwie, gdzie „w rozległości stu mil blisko nie widział tylko wywiędłe ludzkie cienie,“ dalej mówi: „Gdy do granicy włości Pawłowa zbliżać się począłem, tak okropne nikły widziadła. Postrzegłem z daleka otwarte powietrze, które na okoł sąsiedzkie zaciemniają bory; postrzegłem najobfitszym plonem okryte pole, drogi wyrobione, pomieszkania ludzkie, a co najwięcej ,obaczyłem ludzi i z nimi mówiłem, którzy, jak w więzieniu lat kilka jęczący różni się od obywatela, wolnie, bezpiecznie i szczęśliwie żyjącego, tak oni od nich (t. j. od reszty) różnią się wieśniaków.“ Twierdzi również, że „ile najgruntowniejszej zaciągnąć mógł wiadomości“, Brzostowski w trójnasób przynajmniej powiększył sobie intraty zaprowadzeniem nowego porządku „i co niegdyś nędzników tylko w swej włości liczył, teraz ma mieszkańców, którzy są nawet w stanie łaskawego pana pieniędzmi wesprzeć w potrzebie.“ [2]) Zasłynął także z usiłowań swoich polepszenia losu pracujących na roli wieśniaków Joachim Litawor Chreptowicz, który, usunąwszy się podczas konfederacyi barskiej do majątku swego Szczorse“ (w pobliżu Niemna, w powiecie nowogrodzkim), nadał włościanom wolność i zaprowadził korzystną dla nich ekonomiczną organizacyą. [3]) Przyjął on za zasadę, że włościanin ma płacić z roli trzecinę tj. trzecią cześć a z sianożęcia połowę. Grunta rozdał na wieczność; kontrakta jednak na dzierżawę dworskiej trzeciny, obrachowanej na pieniądze, odnawiano co dziesięć lat, jeżeli dzierżawcą był sam posiadacz tego gruntu, a co trzy lata, jeżeli trzecinę kto obcy brał w dzierżawę. Chreptowicz „wyznaczył wójtów, ławników, dziesiętników, — oddał w ich ręce sądy pierwszej instancyi, napisał mądre ustawy o spadkach, działach, o powinnościach wzajemnych co do rzeczy spólnych, porządki ogniowe, zabezpieczył włościan od gwałtu i samowolności ekonomów przez urządzenie prędkiej i nic nie kosztującej sprawiedliwości.“ [4]) Za przykładem Zamojskiego, Brzostowskiego, Chreptowicza, poszedł także synowiec króla, Stanisław Poniatowski, podskarbi litewski, a pomiękąd i kandydat do tronu po śmierci swego stryja. Nadał on wolność czterem wsiom, pod Warszawą położonym, zaprowadził w nich oczynszowanie i sam nauczał swych włościan, jak należy prowadzić dobre gospodarstwo. Zasługują także na uwagę urządzenia, zaprowadzone od 1771 r. przez Annę z Sapiehów Jabłonowską w Wysokiem, Kocku i Siemiatyczach, nad któremi po śmierci swego męża objęła zarząd. Urządzenia te spisała w „Ustawach powszechnych dla dóbr moich rządców,“ które wyszły w 1785 r. Zapewniła ona mieszczanom i włościanom prawo posiadania zajmowanych gruntów na lat 50. Po upływie tego terminu, mogli oni żądać przedłużenia umowy na drugie lat 50, przyczem mieszczanie płacili dziedzicowi 200 złotych, włościanie zaś — 100 złotych. Dla ułatwienia najstarszemu synowi objęcia gospodarstwa po ojcu i spłacenia reszty rodziny, dawano z kasy bezprocentową pożyczkę. Ojciec mógł jednak podzielić grunt pomiędzy swych synów, nie inaczej wszakże, jak za pozwoleniem dworu. Ażeby grunt nie wychodził z rodziny włościanina, wolno mu było odprzedać swą posiadłość tylko wówczas, gdy był stary i bezdzietny albo też dowiódł, że dzieci jego były występne i zasłużyły na wydziedziczenie. Właścicielka, troskliwa o los swoich poddanych, założyła kilka ważnych instytucyj, z których dwie, stanowiąc wspólną własność całej gromady, ratowały w nieszczęściu dotkniętych niem włościan. Była to kasa publiczna, z której dotknięty klęską wieśniak mógł zaciągnąć pożyczkę z opłatą jednego grosza od złotego rocznie, i magazyn publiczny, udzielający zapomogi w razie nieurodzaju. Autor „Pana Podstolego“, zachwycony dobrobytem, panującym w dobrach księżny Jabłonowskiej, napisał z tego powodu:

„Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu życzę,
Jakie mają Wysokie, Kock i Siemiatycze.“

(C. d. n.)

---

[1]) Jest tu bezwątpienia przesada. Cooxe (Reise durch Polen. Zürich, 1785) pisał pod wrażeniem Listów Patryotycznych Wybickiego, a temu chodziło przedewszystkiem o propagandę. Wyjątki z podróży Cooxe'a w tłumaczeniu polskiem drukował w 1785 r. „Pamiętnik polityczny i historyczny“ (Tomy III i IV) Wiadomość przytoczona przez Wybickiego a powtórzona przez Cooxe'a, o zwiększonej liczbie rodzących się dzieci w Bieżuniu nie przedstawia właściwie żadnego dowodu.

[2]) Szczegóły o Pawłowie zawierają się „w Listach Anonima“ opisujących komisyą wolnych włościan Pawłowskich z dziedzicem swoim J. W. ks. Brzostowskim Ex-Referendarzem W. X. L. w „ Pawłowie od 1767 do 1795 r. od jednego przyjaciela opisanym“ (Wilno); oraz w „Pamiętniku politycznym i historycznym“ (T. III, 1784) w artykule: „Wspaniałość ku poddanym jednego obywatela polskiego, za granicą słynąca“, który jest ustępem z opisu podróży po polskich prowincyach Jana de Carosi.

[1]) Str. 304 Listy patryotyczne do jaśnie Wielmożnego ex kanclerza Zamojskiego, prawa układającego pisane Warszawa, 1777 r.

[2]) Str. 307 Listy patryotyczne.

[3]) „Bez krzywdy włościanina potroił swoje dochody i tak dobry gospodarowania zaprowadził porządek, że się do dziś dnia utrzymuje,“ — powiada ks. prałat Ksawery Bohusz w mowie, mianej 1815 r. na publicznem posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk. Str. 468. Roczniki Towarzystwa królewskiego warszawskiego. Przyjaciół nauk, Warszawa 1817. Karol Adolf de Meblig opisał pod względem ekonomicznym wyborne gospodarstwo w dobrach Szczorse w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ (1777 r.)

[4]) Str. 472 i 473. Roczniki Towarz. przyjac. nauk, 1817.

HOMERA ILIADY PIEŚŃ VI.

Pożegnanie Hektora z Andromachą.

Dalszy ciąg walki. Szczęście po stronie Achiwów. Helenos nakłania Hektora, aby się udał do miasta i polecił Hekubie błagać Ateny o ratunek Troi. Glaukos i Dyomedes występują do walki, poznają się jednak jako przyjaciele gościnni, i pomieniawszy się zbroją, rozchodzą się w zgodzie. Hektor spełnia polecenie Helenosa, Hekuba wraz z innemi matronami trojańskiemi prosi Ateny o zmiłowanie, ale nadaremnie. Hektor udaje się do mieszkania Parysa i nakłania go do wzięcia udziału w walce, poczem spieszy pożegnać się z żoną swoją Andromachą; następnie udaje się z Parysem na pole walki.

(Dokończenie).

Tak się one tam modlą. Hektor zaś bez zwłoki
Spieszy w dom Alexandra. Był to gmach wysoki,
Zbudował go sam Parys przy pomocy cieśli
Najzdolniejszych podówczas w Troi. Ci mu wznieśli
Dom, w którym i komnaty były i komora,
A stał tuż przy mieszkaniu Pryama i Hektora.
Tam wszedł Hektor. W prawicy ma dziryt wzniesiony,
Jedenastołokciowy, z przodu zaostrzony
Miednym grotem, co z drzewcem skówkami był spięty.
Parys właśnie swą zbroją był wtedy zajęty:
Czyścił krzywe pociski, włócznię, pancerz z miedzi.
Nieopodal Helena pośród panien siedzi,
Z nich każda przędzie tkanki misterne i składnie.
Hektor sam swego brata w te słowa zagadnie:

Człeku, jakiż znów pomysł w twej głowie wyrasta?
Patrz, tam giną narody pod murami miasta,
Patrz, ile klęsk ponoszą, patrz, jak wróg zacięty,
Wdziera się z gwałtownością w Pryama gród święty!
Przecz nie spieszysz, gdzie inni toczą walkę srogą?
Chodź ze mną! Prędko! Wróg nam grozi już pożogą!“

Na to mu Alexander rzecze: „Bracie miły,
Słusznie mię twe zarzuty, tak, słusznie trafiły.
Zechciej mnie jednak słuchać, otworzę ci serce:
Mnie markotno, żem u was w takiej poniewierce,
Więc poszedłem do domu cierpieniom dać wodze.
Teraz na obowiązku znów mię znajdziesz drodze;
Żona mię namówiła, bym do walki wrócił;
Zrobię tak! któż wie, jakie bóg nam losy rzucił?
Czekaj tylko cokolwiek, niech przywdzieję zbroję,
Lub idź, ja cię dopędzę, nim opuścisz, Troję.“

Tak mówił; Hektor na to nie rzekł ani słowa,
Wtem przerywa milczenie żona Parysowa:

„O, teraz mi przed okiem stoi hańba cała!
Bodajby mię w dniu owym, kiedym świat ujrzała,
Burza była zaniosła w niedostępne góry,
Lub gwałtownie cisnęła w wód przestwór ponury!
Stokroć bym ja wolała znaleść śmierć wśród fali,
Niż byście wy Trojanie na mnie narzekali!
Lecz jeśli już bogowie inny zamiar mieli,
Czemuż mię lepszym mężem obdarzyć nie chcieli?
Ten człowiek w mężnych ludzi nie godzien stać rzędzie,
I snać nigdy tchórzostwa swojego nie zbędzie!
Oj karzą go bogowie już teraz po troszę!...
Lecz szwagrze, wejdź do środka, i usiądź tu proszę,
Mój błąd i Parysowe ciężkie przewinienie
Nie jedno już na ciebie przywiodły cierpienie!
Ponoś Zeus chce, by nami gardzili współcześni,
A potomni, by błąd nasz uwiecznili w pieśni."

Na to Hektor: „Heleno, daruj że nie siędę,
Ja w kilku chwilach znowu pośród Trojan będę;
Tam, do walki, zapasów, tam mnie serce wzywa,
Chcę bić wroga, bo czuję, że mi sił nie zbywa.
Ty zaś staraj się tego do pospiechu skłonić,
Niechaj długo nie zwleka, by mię mógł dogonić,
Zanim jeszcze opuszczę Pryamowe miasto.
Ja teraz z moją idę żegnać się niewiastą,
Idę uścisnąć małą, niewinną dziecinę
I zobaczyć raz jeszcze wiernych sług drużynę.
Któż wie, czy wrócę znowu do mojej siedziby,
Czy też z rąk Achajczyków uniknę pohyby."

Tak rzekł i odszedł. Wkrótce stanął przed swym domem.
Andromacha zmożona boleści ogromem
Wyszła właśnie spłakana na miejską wieżycę,
Zkąd można było widzieć całą okolicę;
Obok z dzieckiem szła mamka w prześlicznem ubraniu.
Więc kiedy Hektor żony nie zastał w mieszkaniu,
Stanął w progu i tak się do dziewek odzywa:

„Hejże, dziewki, niech żadna prawdy nie ukrywa;
Mówcie, gdzie Andromacha może być w tym czasie?
Może siedzi u której z siostr mych? może zasię
U jakiej żony brata? może też zdążyła
Do świątyni Pallady, gdzie Trojanek siła
Modli się do bogini prosząc zmiłowania?"

Pierwsza do odpowiedzi szafarka się skłania
„Chcesz wiedzieć, gdzie twa żona może być w tym czasie?
Nie, nie ma jej u żadnej z siostr twych; nie ma zasię
U żadnej żony brata; ni ona zdążyła
Do świątyni Pallady, gdzie Trojanek siła
Korne modły do stóp jej szle o zmiłowanie.
W innem ona jest miejscu: Słysząc, że Trojanie
Uciekają przed wrogiem, zdążyła ku wieży.
Lecz kogoż widzę? Ona! Patrz, jak szybko bieży,
Jakby bez przytomności, z obłąkanym wzrokiem;
Przy niej piastunka z dzieckiem."

Na to szybkim krokiem
Ruszył Hektor długiemi ulicamii Troi,
Dążąc ku miejscu, w którem brama skajska stoi —
Tędy bowiem na pole zamierzał się dostać.
Tu zabiegła mu drogę sercu miła postać,
Dorodna Andromacha, córa Etyona,
Co to w swej dzierżył władzy kilikskie plemiona,
A mieszkał u stóp Plaku, we wspaniałej Tebie.
Jego córę za żonę Hektor wziął dla siebie, —
Tak się oni tam zeszli. Niepodal stała
Mamka z synkiem na ręku; dziecina to mała,
Niemowlę, piękniejszego nie znaleść na świecie.
A choć go ojciec wołał Skamandryos, to przecie
Inni go Astyanaxem*) uporczywie zwali.
Wszak tylko Hektorowi byt swój zawdzięczali!
Hektor spojrzał na syna. Usta bohaterą
Okolił lekki uśmiech, lecz wnet zamiera;
Wzrok jego padł na żonę. Ta zalana łzami
Takiemi się do męża odezwie słowami:

„Nieszczęsny! twa odwaga zgubę ci zgotuje,
O, ztituj się nademną i nad synem. Czuję,
Że wkrótce mnie samotną zostawisz na świecie,
Bo cię przemoc Achajów pośród walki zgniecie.
Wtedy rozpacz straszliwa serce moje strawi,
I chyba śmierć jedynie od cierpień wybawi!
Nie mam ojca, i matki nie staje mi drogiej,
Ojca zgładził okrutnie Peleida srogi,
Stolica Kilijczyków przez niego zburzona
Runęła z śmiercią mego rodzica Etyona.
Zabił go, lecz tak wielce się nie uzuchwalił,
By zedrzeć z niego zbroję, więc z zbroją go spalił,
I usypał mu kurhan, a w koło mogiły
Nimfy górskie kwitnące wiązy zasadziły.
Miałam też siedmiu braci, lecz wszyscy zginęli,
Wszyscy w jednym dniu z światem wieczny rozbrat wzięli:
Padli z ręki Achila, gdy wśród niw kwiecistych
Strzegli stada kóz, wołów i owiec wełnistych,
Nawet matkę, co władła nad Kilijczykami,
Przeprowadził w te strony z innymi łupami,
Lecz choć się wykupiła z niewoli Pelidy,
Zginęła, nie uniknąwszy gniewu Artemidy.
Hektorze, tyś mi wszystkiem! Ja w twojej osobie
Ojca widzę i macierz, braci ległych w grobie!
Ulitujże się, zostań! wszak błagam cię o to!
Ach, nie czyń żony wdową, a synka sierotą!
Ustaw wojsko dokoła pagórka, przez który
Najłatwiej wpaść do miasta i wspiąć się na mury.
Już trzy razy z tej strony chcieli zdobyć Troję
Najdzielniejsze z pomiędzy Achiwów heroje,
Ajasy z swojem wojskiem, lud Idomedeja
Towarzysze Atrydów i Dyomeneja,
Czy to ich jaki wieszczek do tego nakłonił,
Czy też się taki pomysł z ich głowy wyłonił."

Na to się Hektor do niej w te słowa odzywa:
„Chętniebym to uczynił, żono nieszczęśliwa,
Lecz gdybym się ociągał od krwawego znoju,
Gdybym się jak tchórz jaki chciał wstrzymać od boju,
Trojanom spojrzeć w oczy nie miałbym śmiałości.
Zresztą mnie nauczono od pierwszej młodości
Zawsze walczyć w trojańskich szeregach na przodzie,
Toż cześć przynajmniej w moim chcę ocalić rodzie!
Niestety, wiem to dobrze. Przyjdzie dzień przeklęty,
Kiedy w proch się rozsypie gród Ilionu święty;
Padnie Pryam, z Pryamem Trojów naród zginie!
Lecz chociaż się dla innych srogi los nawinie,
Mnie nie tyle żal będzie Pryama, Hekuby,
Ni wszystkich braci, którzy nie unikną zguby,
Ile ciebie najdroższa, gdy wróg ladajaki
Porwie cię i uwiezie na argejskie szlaki,
I wolności pozbawi. Wtedy u prześlicy
Dla innej będziesz prząść musiała, lub z krynicy
Messejskiej, Hyperejskiej nosić zdrój przezroczy.
A kiedy ci rzęsiste łzy zaleją oczy,
„Oto żona Hektora" — ktoś się tam ozowie —
„Co walczył bohatersko, gdy mężni Trojowie
Ilionu bronili." Tak niejeden powie.
Twe serce wtedy z żalu ściśnie się, zaboli
Za mężem, coby ciebie wybawił z niewoli.
Przebóg! Niechby mię pierwej ziemia pochłonęła,
Bym nie patrzał, jak dzicz cię będzie ztąd ciągnęła!"

Rzekł i ręce wyciąga, by uściskać syna.
Wżdy ku łonu piastunki cofa się dziecina,
Wydawszy krzyk przestrachu na widok rodzica:
Przeraża ją spiżowa zbroja i przyłbica,
I na wierzchołku hełmu zawieszona kita.
Na to uśmiech na ustach rodziców zawita.
Więc dostojny bohater z głowy hełm zdejmuje,
Położy go na ziemi i syna całuje.
A kiedy wreszcie syt był pieszczot i ściskania,
Rzekł, ku Olimpijczykom korne sząc błagania:

„Zeusie, wy inne bóstwa! Dozwólcie łaskawie,
By syn mój z biegiem czasu mej dorównał sławie,
By miał siłę olbrzyma i w Ilionie władał,
A niejeden go będzie nad ojca przekładał.
Kiedy wroga zabiwszy, zbroję zdrze mu z ciała,
Matka zaś z dumą będzie na syna patrzała."

Z temi słowy bohater dziecię odda żonie,
Ona łzami zalana tuli je na łonie,
Lecz łkaniem serce męża boleśnie zakrwawia,
Toż on rękę jej ściśnie, poczem tak przemawia:

„Najmilsza, czemuż rozpacz twą duszą pomiata?
Wszak mnie wbrew przeznaczeniu nikt nie zgładzi z świata,
Jednak Mojry uniknąć człowiek nie jest w stanie:
Nad złym i dobrym ona dzierży panowanie.
Idź już do dom, i żwawo weź się do kądzieli,
Roztropna pani także służącym rozdzieli
Jakąś pracę przy krosnach. Mężom bój przystoi,
Mnie zaś najbardziej z wszystkich, co się rodzą w Troi."
Tu skończył i na głowę wdział szyszak szeroki,
Andromacha zaś przed się skierowała kroki,
Aż, ciągle w tył rzucając okiem załzawionem
Stanęła przed domostwem misternie wzniesionem.
W komnatach służebnice żwawo się krzątały,
Na widok pani wszystkim z ócz łzy się polały,
Toż płakały Hektora, choć jeszcze nie zginął,
Bo straciły nadzieję, by się żyw wywinął
Z rąk wrogów, by go zdrowo puścili Achaje.

Także Parys nie długo czekać na się daje
Przyodziawszy rynsztunek cały lśniący spiżem,
Niezwłócząc, puszcza się przez miasto w biegu chyżym.
Jako rumak ognisty jęczmieniem spasiony
Przerwawszy uździennicę pędzi przez zagony,
Podnosząc dumnie głowę, potrząsając grzywą,
By w czystych nurtach rzeki skąpać się co żywo,
Albo rozochocony pospiesznie cwałuje
Na miejsce gdzie go bujna pasza oczekuje,
Tak Parys Pryamida biegł ze zamku Troi
Świecąc jakoby słońce w swej przepysznej zbroi.
Hektor właśnie ze żoną skończył pożegnanie
I wracał. Alexander szybko przy nim stanie
Wołając:

„Drogi bracie, znów późno przychodzę,
A ty, co ci tak spieszno, czekasz tu przy drodze
Na mnie, choć się nie stawię na czas oznaczony."

Na te słowa mu Hektor odpowie zdziwiony:
„Co pleciesz? Mąż, co w wszystkiem słusznością się rządzi,
O brak odwagi ciebie wcale nie posądzi;
Wżdy do jej okazania coś nie szukasz pory,
A mnie boli, gdy słyszę Trojan rozhowory,
Jak sławę twoją szarpią — wszak z twego zrządzenia
Znoszą trudy i takie srogie utrapienia.
Ale idźmy! Dość jeszcze czasu nam zostanie
Mówić o tem, gdy wreszcie dozwolą niebianie,
Byśmy im, wypędziwszy wrogi spiżem zbrojne,
Sutą dali ofiarę za pomyślną wojnę."

Lwów, kwiecień maj 1876.

Ostafi Brona.

---

*) Dosłownie: władcą miasta.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XII.

Wyprawa Jakóba Ryan.

Jakób Ryan i trzej również ranni jego towarzysze, przeniesieni zostali na folwark Melrose, gdzie bezwłocznie udzielono im koniecznej pomocy.

Najbardziej pokaleczony był Jakób, gdyż w chwili, gdy obwiązany liną rzucił się do morza, rozhukane bałwany odepchnęły go gwałtownie na skały, tak iż niewiele brakowało, aby wyciągnięto go z wody bez życia.

Dzielny chłopak skazany był więc na odleżenie kilku dni w łóżku, co go przyprowadzało prawie do wściekłości; że jednak pozwolono mu wyśpiewywać, ile mu się podoba, zgodził się ze swoim losem i dźwięczny głos jego od rana do wieczora rozlegał się wśród cichego i spokojnego zwykle folwarku. Wypadek ten przecież tem silniej oddziałał na rozognioną wyobraźnię jego, wzbudzając w nim uzasadnioną już, jak się wydawało, obawę przed złośliwymi duchami i diablikami, których poczytywał za jedynych sprawców i winowajców katastrofy z Motalą. Żleby się był wybrał ten, ktoby chciał wytłómaczyć mu, że *Dziewic ognia* nie ma na świecie, i że płomień ów, co tak niespodzianie ukazał się wśród ruin był tylko prostem fizycznem zjawiskiem. Towa-

rzysze Jakóba stali się, o ile to było możliwem, jeszcze bardziej przesądnymi; zdaniem ich, jedna z dziewic ognia umyślnie zwabiła Motalę na skaliste wybrzeża, a chcieć ją za to ukarać było by to samo, co pociągać do odpowiedzialności morze za to, że się burzy. Urzędnicy mogą śledzić ile im się podoba: nie schwycą ulotnego płomienia, ducha nie wsadzą do więzienia. I trzeba przyznać, że czynione poszukiwania zdawały się— pozornie przynajmniej — usprawiedliwiać przesądne ich zapatrywanie się na powody nieszczęsnej katastrofy.

Rzeczywiście, władze miejscowe, obowiązane do przeprowadzenia śledztwa w sprawie rozbicia się Motali, badały wielu naocznych świadków — wszyscy zaś badani, zeznali jednozgodnie, że rozbicie spowodowane było ukazaniem się Dziewicy ognia w ruinach zamku Dundonald.

Rozumie się, że władza nie mogła poprzestać na podobnem wyjaśnieniu. Nie ulegało wprawdzie najmniejszej wątpliwości, że światło ukazało się w ruinach; ale należało jeszcze przekonać się, czy światło to było przypadkowem zjawiskiem, czy też zapalone złośliwą jaką ręką.

Ostatnie to przypuszczenie nie powinno dziwić nikogo. Nie potrzeba zbytecznie zagłębiać się w historyi Armoryki, aby przyznać, że podobne podejrzenia miały pewne uzasadnienie w przeszłości. Wielka bowiem liczba złoczyńców, chciwych łatwego rabunku, ściągała podstępnie na skaliste wybrzeża nieopatrznych żeglarzy. To rozłożyste żywiczne drzewo zapalone wśród nocy, to głownia umocowana do rogów wołu i migająca nierównem światłem według kaprysów rozgniewanego bydlęcia, wprowadzały w błąd sterników nieobznajomionych dokładnie z miejscowością, którzy w najlepszej wierze dążyli w kierunku tych fałszywych sygnałów, narażając swoje statki na nieuchronne rozbicie i rabunek. Dla poskromienia barbarzyńskich tych zwyczajów, sprawiedliwość niejednokrotnie zmuszona była uciekać się do najsurowszych środków – nie było też nic nieprawdopodobnego w przypuszczeniu, że obecny wypadek wywołany mógł być żądzą łupieży i rabunku.

Tego przynajmniej przekonania nabrała policya nadbrzeżna, wbrew twierdzeniom Jakóba Ryan i jego współtowarzyszy, którzy dowiedziawszy się o zamierzonem śledztwie, podzielili się na dwa obozy: jedni poprzestawali na obojętnem i zdradzającem powątpiewanie wzruszaniu ramionami, drudzy, bardziej bojaźliwi, zapowiadali, że takie drażnienie istot nadprzyrodzonych z pewnością nowe wywoła katastrofy.

Pomimo to, przeprowadzono nader skrupulatne śledztwo. Policya udała się do zamku Dundonald, i zbadała ruiny w sposób, o ile można najdokładniejszy.

Przedewszystkiem szło o rozpoznanie, czy nie znajdą się jakie ślady nóg ludzkich. Tymczasem, jakkolwiek na wilgotnej po wczorajszym deszczu ziemi musiałoby pozostać odbicie chociażby najlżejszej stopy, nie znaleziono żadnych, ani dawniejszych ani świeżych śladów.

— Szukają śladów Dziewic ognia! — zawołał Jakób Ryan, gdy się dowiedział o tem pierwszem niepowodzeniu. — Wyborni sobie! to tak samo jakby chcieli szukać śladów błędnego ognika, bujającego po nad bagniskiem.

Przedwstępne zatem śledztwo nie doprowadziło do żadnych zadawalniających rezultatów. Prawdopodobnie toż samo stać się miało i z głównym przedmiotem śledztwa.

Chodziło tu bowiem o sprawdzenie w jaki sposób rozpalony został ogień na szczycie baszty, jakich użyto na ten cel materyałów, i nakoniec o zbadanie popiołów, jakie ogień ten powinien był po sobie pozostawić.

Co do pierwszego, nie znaleziono ani zapałek, ani kawałka papieru, ani nic takiego, co mogłoby posłużyć do rozpalenia ognia.

Co do drugiego, okazał się taki sam zupełny brak jakiegokolwiek dowodu. Nie było tam ani suchej trawy, ani kawałków drzewa, chociaż tak silny płomień, palący się przez całą noc prawie, musiał być w ten lub w inny sposób podsycany.

Co do trzeciego wreszcie punktu, musiano również wyrzec się odszukania jakichkolwiek wskazówek. Nieobecność popiołu nie dozwalała nawet odszukać miejsca, w którem mógł był palić się ogień, nigdzie też ani ziemia ani mury nie były zaczernione. Pozostało więc tylko przypuszczenie, że płonący przedmiot trzymany był w ręku przez jakiegoś złoczyńcę, ale i to przypuszczenie traciło na prawdopodobieństwie, wobec zeznań licznych świadków, zapewniających, że płomień dochodził tak olbrzymich rozmiarów, iż z łatwością widzianym był przez załogę Motali ze znacznej nawet odległości.

— Co raz lepiej! — żartował Jakób ze strażników — Dziewice ognia nie potrzebują zapałek ani drzewa! — Dość im dmuchnąć, aby zapalić na okół siebie powietrze, a cudowny ich ogień nie wydaje dymu, ani też popiołu nie zostawia!

Ostatecznym przeto wynikiem poszukiwań, była nowa oryginalna legenda, uwieczniona katastrofą Motali i stwierdzona niejako urzędowem śledztwem.

Tymczasem taki dzielny chłopak jak Jakób, nie mógł pozostawać w bezczynności; trochę silniejsze potłuczenie, kilka wywichniętych stawów, nie mogły go długo zatrzymywać w łóżku. Zresztą nie miał on czasu na chorobę, a przy podobnem usposobieniu zdrowy klimat szkocki nadzwyczaj prędko zwykł ułatwiać wyleczenie.

Jakób Ryan wcześnie też odzyskał zdrowie. Skoro tylko mógł się już utrzymać na nogach, postanowił, przed powrotem do swych zajęć na folwarku Melrose, wykonać poprzednio już powzięty zamiar, a mianowicie odwiedzić Henryka, dla przekonania się, co mogło mu stanąć na przeszkodzie, że nie przybył na uroczystość irvińską. Że nie mogło to być prostem niedotrzymaniem słowa, o tem Jakób był najmocniej przekonany; było również nieprawdopodobnem, aby syn starego obermana, prawie codziennie bywający w Callander, nie dowiedział się o rozbiciu się Motali, szczegółowo opisanem w dziennikach. Powinienby zatem wiedzieć o udziale, jaki wziął Jakób przy ratowaniu rozbitków, a pomimo to wszystko nie przybył na folwark, aby odwiedzić chorego przyjaciela.

Taka obojętność ze strony Henryka Ford nie dałaby się niczem usprawiedliwić; skoro więc nie przybył, dowód to, że przybyć nie mógł, a Jakób tak silnie był o tem przekonany, że prędzej gotów był zaprzeczyć istnieniu Dziewic ognia, aniżeli choćby na jednę chwilę zwątpić o życzliwości dla siebie młodego górnika.

W parę dni zatem po katastrofie, Jakób opuścił folwark w dobrem usposobieniu, jakby go nigdy nic nie bolało, i z wesołą piosnką na ustach udał się wprost na najbliższą stacyą kolei, aby ztamtąd, przez Glasgow i Stirling pojechać do Callander.

Podczas gdy oczekiwał nadejścia pociągu, wzrok jego padł na jeden z afiszów rozwieszonych po ścianach dworca. Afisz ten obejmował następujące ogłoszenie:

„4 b. m. inżynier James Starr z Edymburga, wsiadł w Granton-pier na statek parowy *Książe Walii*, z którego wysiadłszy tegoż samego dnia w Stirling, znikł następnie bez wieści.

„Ktoby posiadał o nim jakąkolwiek wiadomość, proszony jest o udzielenie jej przezydentowi Instytutu królewskiego w Edymburgu.“

Jakób Ryan raz i drugi odczytał powyższe ogłoszenie, nie dowierzając własnym oczom i nie hamując bynajmniej objawów nadzwyczajnego podziwu. — Inżynier Starr! czy podobna! — zawołał. — Ależ właśnie 4 grudnia spotkałem go w towarzystwie Henryka na jednej z drabin szybu Yarow! Toż już dziesięć dni upłynęło od owego czasu — i dotąd nie pokazał się jeszcze?... Teraz, zaczynam już domyślać się, co mogło powstrzymać Henryka.

I nie tracąc czasu na zawiadomienie pana prezydenta Instytutu królewskiego w Edymburgu o tem co wiadomem mu było o tajemniczem zniknięciu inżyniera, dzielny chłopak wskoczył do wagonu z silnem postanowieniem pospieszenia przedewszystkiem do szybu Yarow. Przybywszy na miejsce, spuści się do komory Dochart, gdzie bez najmniejszej wątpliwości odszuka Henryka a z nim i inżyniera.

W trzy godziny później, wysiadłszy z wagonu w Callander, udał się wprost do szybu Yarow.

— Nie ukazali się dotąd — rozmyślał przez drogę. — Dlaczego? Czy wstrzymała ich jaka nieprzewidziana przeszkoda? Czy nadzwyczajne jakie zajęcie zniewala ich do pozostania w kopalni? — Muszę się o tem przekonać.

I trawiony niecierpliwością przyspieszał kroku, tak, że przed upływem jednej godziny czasu, stanął na miejscu.

Na zewnątrz nic się tam nie odmieniło. Taż sama jak dawniej cisza panowała naokół zapuszczonego szybu. Wśród rozległej płaszczyzny, jak oko sięgnąć mogło, ani śladu ludzkiej istoty.

Jakób podszedł do zniszczonego budynku, w którym znajdował się otwór szybu. Schylił się po nad przepaścią... ciemność niezgłębiona. Nadstawił ucha... najmniejszy szelest nie przerywał grobowego milczenia.

— Poszukajmy lampy! — zawołał — musi przecież być na swojem miejscu.

Odwiedzając dość często swego przyjaciela w kopalni, Jakób zwykł był, dla dogodności, chować lampę w kąciku na pierwszej kondygnacyi szybu.

Lampy nie było w zwykłej jej kryjówce.

— Zaczyna mnie to niepokoić! — pomyślał.

A potem, bez najmniejszego wahania, pomimo wszystkich swoich przesądów i zabobonów:

— Zajdę i bez lampy — rzekł — chociażby tam ciemniej być miało niż w piekle samem!

I z podziwienia godną śmiałością zaczął zstępować po drabinach ciągnących się długim szeregiem w ciasnej i jak noc czarnej studni.

Trzeba było być bardzo pewnym siebie i doskonale znać kopalnię, aby się odważyć na coś podobnego. Zresztą schodził po drabinach z największą ostrożnością. Zanim stąpił krok niżej, wypróbował poprzednio każdy następny szczebel drabiny, wiedział bowiem z doświadczenia, że wiele z nich było już nadgniłych i bardzo łatwo mogły się załamać; każde zaś fałszywe stąpnięcie

zagrażało śmiertelnym upadkiem w przepaść półtora tysiąca stóp głębokości sięgającą. Oprócz tego, liczył każdą przebytą drabinę, wiedział bowiem, że dopiero po przebyciu trzydziestej, znajdzie się w właściwej kopalni. Tam się zaś już dostawszy, nie trudno mu będzie, jak myślał, trafić do folwarku, znajdującego się, w końcu głównego chodnika.

W ten sposób doszedł do dwudziestego szóstego przystanku, czyli, że już tylko dwieście szczebli oddzielało go od komory Dochart.

Po chwilowym odpoczynku spuścił jedną nogę w przepaść, aby odszukać pierwszy szczebel następnej drabiny. Noga jego wszakże nie napotkała żadnego punktu oparcia.

Zdziwiony i niespokojny przykląkł, nachylił się i wyciągnął rękę w kierunku gdzie powinna była znajdować się drabina... Wszystko napróżno!

Dwudziestej siódmej drabiny nie było. Widocznie usunęła ją jakaś złośliwa ręka.

— Sam diabeł musiał tędy przechodzić! — mruknął Jakób, z pewnym wyrazem przestrachu.

Podniósł się, wyprostował i z założonemi na krzyż rękoma, usiłował niejako przebić wzrokiem otaczające go nieprzeniknione ciemności. Zastanawiał się nad swem położeniem. Zwolna przyszła mu na myśl słuszna uwaga, że skoro on nie mógł zejść na dół, to i mieszkańcy kopalni nie mogli wydostać się na górę. Rzeczywiście, dawna kopalnia Aberfoyle nie posiadała innej komunikacyi z zewnętrznym światem. Jeżeli, jak wypadało przypuszczać, dolne drabiny szybu Yarow usunięte zostały wkrótce po ostatniej bytności Jakóba w komorze Dochart, cóż się stało z Szymonem Ford, z jego żoną, z Henrykiem i inżynierem Starr? Zarządzone poszukiwanie osoby tego ostatniego wyraźnie dowodziło, że inżynier nie opuszczał kopalni od dnia, w którym Jakób spotkał go w towarzystwie Henryka. A w takim wypadku jakąż drogą podziemny folwark zaopatruje się w niezbędną żywność? Czy nie zabrakło tej żywności biednym więźniom zamkniętym na półtora tysiąca stóp pod ziemią?...

Jakób nie mógł zataić przed samym sobą, że myśli te mają wszelkie pozory prawdopodobieństwa, ale, z drugiej strony, widział dobrze, że sam własnemi siłami nie zdoła dostać się do podziemnego folwarku. Gdy przerwa w komunikacyi zrobioną została umyślnie — co nie ulegało żadnej wątpliwości — sprawcę tej niegodziwości wyśledzić mogą jedynie władze, trzeba je tylko jak najprędzej o tym wypadku zawiadomić.

Doszedłszy do tego ostatniego wniosku, Jakób raz jeszcze pochylił się po nad przepaścią i donośnym zawołał głosem:

— Henryku! Henryku!

Echo stukrotnie odbiło się w głębiach studni i znowu głucha powróciła cisza.

Teraz Jakób Ryan nie tracił już czasu: szybkim krokiem przebiegł górne drabiny i niezadługo ujrzał się na powierzchni ziemi. Z tym samym pośpiechem podążył na dworzec kolei w Callander, w kilka minut doczekał się pociągu pospiesznego idącego do Edymburga i o godzinie trzeciej popołudniu stawił się w biórze lorda prewota północnej stolicy.

Tam złożył swoje zeznanie, a podane przezeń szczegóły nacechowane były tak ścisłą dokładnością, że nie dopuszczały ani cienia nawet wątpliwości. Zawiadomiony natychmiast prezydent Instytutu królewskiego Sir Elphiston, nietylko kolega, ale i serdeczny przyjaciel inżyniera, żażądał aby jemu samemu powierzono kierunek poszukiwań, jakie bezwłocznie miały być przeprowadzone w kopalni Aberfoyle. Oddano mu do rozporządzenia odpowiednią liczbę ajentów policyjnych, zaopatrzonych w lampy bezpieczeństwa, motyki i długie sznurowe drabiny; nie zapomniano o dostatecznych zapasach żywności i trunków, a następnie cała ta wyprawa w towarzystwie Jakóba Ryan, udała się na miejsce przeznaczenia.

Tegoż samego wieczora jeszcze przybyli do szybu Yarow i zeszli wszyscy do dwudziestej siódmej drabiny, nad którą, przed kilku godzinami, zmuszony był Jakób zatrzymać się.

Przy świetle lamp spuszczonych w głąb studni, przekonano się o braku czterech ostatnich drabin.

Było to wyraźnym dowodem, że komunikacya z kopalnią została z rozmysłem przerwaną.

— Na co czekamy, szanowny panie prezydencie? — zapytał niecierpliwy Jakób.

— Czekamy, mój chłopcze — odpowiedział łagodnie sir Elphiston — na powrót tych lamp, a następnie zejdziemy na dół, gdzie ty już będziesz musiał nas poprowadzić.

— Zaprowadzę nietylko do folwarku — zawołał z gorącym zapałem — ale do ostatnich nawet krańców kopalni, jeżeli tego będzie potrzeba!

Skoro tylko wyciągnięto lampy, ajenci przymocowali sznurowe drabiny i spuścili je w studnię. Przystanki istniały jeszcze, można więc było przedostawać się z jednego na drugi.

Podróż ta przecież nie mogła się odbyć bez wielkich trudności. Jakób Ryan pierwszy zawiesił się na ruchomej drabinie i pierwszy też dosięgnął dna kopalni.

Sir Elphiston i ajenci, niebawem za nim podążyli.

Półkolista przestrzeń zakończająca szyb Yarow, a stanowiąca zarazem punkt zetknięcia się głównych chodników kopalni, zdawało się być zupełnie, opustoszałą, nie mało więc zdziwiony był sir Elphiston, gdy Jakób zawołał nagle:

— Otóż są kawałki drabin i to jeszcze na wpół spalone!

— Spalone! — powtórzył szanowny prezydent. — Rzeczywiście — dodał przyjrzawszy się bliżej — a spalone oddawna, bo w popiele ani iskierki ognia już niema.

— Czy możesz pan przypuścić — zapytał go Jakób Ryan — że inżynierowi Starr mogło zależeć co na tem aby przerwać wszelką komunikacyą z zewnętrznym światem?

— To niepodobna! — odpowiedział zamyślony sir Elphiston. — Ale spieszmy, mój chłopcze, na folwark; tam dowiemy się prawdy.

Jakób wstrząsnął głową z wyrazem wielkiego powątpiewania i wziąwszy lampę z rąk jednego z ajentów, skierował się w główną galeryą komory Dochart.

Sir Elphiston szedł tuż za nim; pochód zamykali ajenci.

W kwadrans później przybyli do jaskini, w głębi której znajdowało się mieszkanie Szymona Ford. W oknach nie było żadnego światła.

Jakób pobiegł ku drzwiom i otworzył ją gwałtownie.

Folwark był pusty.

Zwiedzili wszystkie pokoje smutnej tej siedziby. Nigdzie najmniejszego śladu gwałtu; wszystko zastali w największym porządku, jak gdyby Madge na chwilę nie oddalała się z domu. Zapasów żywności podostatkiem.

Nieobecność zatem mieszkańców trudną była do odgadnięcia. *Z* całą tylko pewnością dało się oznaczyć od jak dawna opuścili mieszkanie. Jakób bowiem, świadomy zwyczajów miejscowych, przypomniał sobie, że Madge jako rządna gospodyni, zwykła była oznaczać krzyżykiem na kalendarzu każdy upłyniony dzień w podziemiach tych, gdzie cieniów nocy nigdy promienie słońca nie przerywały.

Otóż, na kalendarzu, wiszącym na ścianie w głównej sali, ostatni dzień oznaczony krzyżykiem był 6 grudnia, czyli, że już od dziesięciu dni Szymon Ford, żona jego, Henryk i gość ich edymburgski nie znajdowali się na folwarku. Czy długotrwałą tę nieobecność można było usprawiedliwić poszukiwaniami odbywanemi przez inżyniera w celu nowej eksploatacyi kopalni? — Nie — nic za tem nie zdawało się przemawiać.

Tak przynajmniej domyślał się Elphiston. Po skrupulatnem zrewidowaniu całego folwarku, ujrzał się wielce zakłopotanym, co mu dalej czynić wypada.

Stanęli we drzwiach folwarku i w milczeniu zdawali się rozważać, w jakim kierunku zwrócić dalsze poszukiwania zaginionych. W głębokich ciemnościach lampy tylko ajentów świeciły jak drobne gwiazdeczki.

Naraz Jakób Ryan wydał gwałtowny okrzyk.

— Tam! tam! — zawołał i wskazał palcem dość jasne światło ukazujące się w głębi chodnika.

— Chodźmy, przyjaciele, za tem światełkiem rzekł sir Elphiston.

— Ależ to światło chochlika! — odparł Jakób — nie dogonimy go nigdy.

Pomimo takiego ostrzeżenia, prezydent Instytutu królewskiego i ajenci policyjni, również jak i szanowny uczony niewierzący w żadne przesądy, zwrócili się w kierunku migającego światełka. Jakób nie dał się także zawstydzić i poszedł wraz z nimi, nie licząc wszakże na powodzenie.

W istocie, długi i nużący rozpoczął się wyścig. Płonąca pochodnia zdawała się być unoszoną przez drobną, ale nadzwyczaj ruchliwą istotę. Co chwila znikała ona i znów ukazywała się w jakiej bocznej galeryi, to zbliżała się, to oddalała tak pospiesznie, że zaledwie dostrzedz można było jej przebieg. — W ogólności przestrzeń pomiędzy uciekającą a ścigającymi zmniejszała się nader nieznacznie i Jakób Ryan nie bez słuszności mógł twierdzić, że nigdy nie zdołają doścignąć tej nadpowietrznej istoty.

Po całogodzinnej takiej bezużytecznej gonitwie, sir Elphiston znalazł się w południowo-zachodniej części komory Dochart. Znużony i wpół zniechęcony, gotów był sam już mniemać, że ma do czynienia z jakiemś niepochwytnem stworzeniem.

W tej chwili jednakże odległość od błędnego światła zdawała się widocznie zmniejszać. Czy to istota niosąca pochodnię była już zmęczoną, czy też sama chciała się dać doścignąć, czy wreszcie, zbliżyli się już może do miejsca w którem prawdopodobnie znajdują się mieszkańcy folwarku— dość że światło ukazywało się tuż prawie przed oczyma ścigających.

Ajenci widząc zmniejszającą się przestrzeń, podwoili usiłowań. Światło błyszczące dotąd ciągle w oddaleniu dwustu przeszło kroków, zbliżyło się teraz na mniej niż pięćdziesiąt kroków, a z każdą chwilą odległość ta zmniejszała się jeszcze. Można już było dostrzedz osobę niosącą latarnię. Pierwszy Jakób ujrzał profil niedościgłej tej istoty, a przekonawszy się, że

niczem nie różni się ona od zwykłych ludzi, zawołał przyspieszając kroku:

— Smiało, panowie — śmiało! Mamy go już w ręku! a jeżeli tak gładko umie mówić, jak zmyka, wedle rzeczy dowiemy się od niego!

W tem miejscu jednak gonitwa stała się daleko trudniejszą; na ostatnich krańcach kopalni wąskie i liczne galerye krzyżowały się jakby w jakim labiryncie, w którym uciekający z łatwością mógłby był skryć się przed ścigającymi go. Dość mu było zgasić swą latarnię i rzucić się na bok w jakie bezpieczne ukrycie.

— W samej rzeczy — pomyślał sir Elphiston — gdyby chciał uciec przed nami, dawno już mógł był to zrobić.

Niepochwytna istota, jakby odgadła myśl szanownego prezydenta, zgasiła w tej chwili latarnię, a ścigający ją ajenci znaleźli się jednocześnie przed ciasnym otworem wyżłobionym wśród skał łupkowych.

Rozniecić światło w lampach, wcisnąć się w wąski otwór i przedostać na drugą stronę było to dla sir Elphistona, Jakóba Ryan i ajentów, dziełem jednego mgnienia oka.

Nie uszedłszy przecież i stu kroków w nowej tej galeryi, znacznie wyższej i obszerniejszej od poprzednich, zatrzymali się nagle.

Przed nimi, tuż pod samą ścianą, leżały na ziemi cztery rozciągnięte ciała — cztery trupy może.

— James Starr! — wykrzyknął sir Elphiston.

— Henryku mój! Henryku! — wołał Jakób rzucając się na ciało swego przyjaciela.

W tej chwili, jedna z leżących osób uniosła się cokolwiek i dał się słyszeć słaby głos Madge:

— Najprzód o nich pomyślcie.

Sir Elphiston Jakób i ajenci rzucili się do ratowania nieszczęśliwych, a przedewszystkiem wleli im do ust orzeźwiające krople. Po niejakim czasie umierający zaczęli przychodzić do siebie; od dziesięciu dni zamknięci w Nowej Aberfoyle, skazani byli na śmierć głodową.

Że nie umarli dotąd, winni to byli tylko okoliczności — jak wyjaśnił inżynier swemu przyjacielowi — że trzykrotnie w ciągu tego czasu znajdowali obok siebie bochenek chleba i dzbanek wody. Bezwątpienia, litościwa istota, która chroniła ich od śmierci nie była w możności więcej uczynić.

Sir Elphistonowi przyszło wówczas na myśl czy litościwą tą osobą nie była przypadkiem ta sama, która błędnem pozornie swem światłem doprowadziła ich do miejsca gdzie znaleść mogli zagrzebanych swych przyjaciół.

Bądź co badź, inżynier, Madge, Szymon i Henryk byli ocaleni. Odprowadzono ich na folwark, gdzie wkrótce odzyskali zupełnie swe siły.

Przy powrocie nie trudno było im przekonać się, że otwór, którym pierwotnie dostali się do nowej kopalni, zawalony został kamieniami, nic też dziwnego, że Henryk nie mógł go odszukać.

Tak więc, podczas gdy uszczęśliwieni swem odkryciem zwiedzali obszerne groty Nowej Aberfoyle, tajemnicza jakaś nieprzyjacielska ręka, zatamowała im złośliwie jedyną znaną im komunikacyę z komorą Dochart. (C. d. n.)

LISTY Z KRAKOWA.

I.

(Dokończenie.)

Wielu ludzi poważnych, a nawet uczonych, należących do stronnictwa, zapatruje się na niedaleką przeszłość tak, jak my, jak opinia całego kraju, że są jednak ludźmi delikatnego smaku i szlachetnych instynktów, boli ich gdy słyszą i czytają nieustanne znęcania się. Boli ich, lecz milczeć muszą steroryzowani. Teroryzować szlachetnych ludzi i robić ich gwałtem mimo ich chęci i woli wspólnikami zohydzań przeszłości, nad którą oni może płaczą po cichu, lecz jej nie przeklinają, teroryzować ludzi, którzy się bronić nie mogą, i protestować nie są w stanie, nie jest delikatnością, jakiej mamy prawo żądać od osób tak wykwintnych pod wielu innymi względami, a składających koło przywódzców stronnictwa. Czyż już nie dosyć było wypoliczkowania kolegów przez śp. profesora, historyka austryackiego?...

Mimo to, patrząc się na owe zboczenia, nie dziwimy się mocno. Takt w stronnictwie jest owocem długiej praktyki życia politycznego i rozumu stanu. My mamy wielu dobrych profesorów historyi i literatury, a nawet niezłych doktorów prawa publicznego, którychby jednak pierwszy lepszy praktyk w prowadzeniu nie stronnictwa, lecz klubu politycznego, wiele finezyi, zręczności i godności w przywództwie nauczył. Czekajmy, dopiero uczymy się żyć, a nie ma nic trudniejszego nad naukę życia, a najtrudniejszem z trudnych jest kierowanie publicznem życiem społeczeństwa. Niekoniecznie ten jest poważnym, który nic nie mówi, lub mówi rzeczy pewne, jak naprzykład: że słońce świeci lub ziemia jest okrągłą, a jest przezornym i rozsądnym przykładając rękę do rzeczy, o których wszyscy z góry wiedzą, że się udać muszą. I niekoniecznie wszyscy są wielkimi, którzy po nieudaniu stają się prorokami niepowodzenia. Można czasem powiedzieć coś niezwykłego, niepospolitego, oryginalnego, i stracić na powadze, i można coś dokonać z powodzeniem, o czem wielu utrzymywać będzie, że się nie uda.... To są tajemnice umiejętności życia ludzi i społeczeństw. Udeptanemi drogami... Nie lubię przysłów, które trącą garderobą, zatem przepraszam — dodam tylko tyle, że w przytoczonych różnicach tkwią głównie różnice cywilizacyi społeczeństw. Odwaga, ryzyko, hazardowne doświadczenia, odznaczają ludzi cywilizowanych. Nie zabijajmy odwagi, lecz nią dobrze kierujmy. I w tem wyrażeniu tkwią różnice pojęć, mówiące o cywilizacyi. Często chcąc dobrze kierować odwagą zabijamy ją, jak niezręcznie kierując umysłem idiotyzujemy go. Galicya, czyli moja oktrojowana ojczyzna, ma aż nadto dużo energii, zapału i przedsiębiorczości ducha, co się objawia w przemyśle, handlu, literaturze, instytucyach i w eksploatacyi samorządu, aby nie gasić jej gorączki?... Czyż nieprawda?

Wpływ stronnictwa nie tylko na uczonych jest wszechwładnym. Wszystko co się wydobywa nad poziom, nie mając zdolności, energii i umiejętności, aby stać o własnych siłach, lub tworzyć dla siebie koło, któreby dało początek poważnemu i szanowanemu stronnictwu, wszystko, powtarzam, garnie się pod skrzydła towarzystwa wybranych. Ludzie, którzy mają majątek, pragną znaczenia, wpływów i świetności imienia. Milionowy dorobkiewicz marzy o książęcym zięciu, i o księżniczce synowej. Rzecz to naturalna i znana powszechnie. Lecz nie idzie mi tu o dorobkiewiczów, albowiem ci u nas nie rodzą się, jak grzyby po deszczu. Są ludzie zamożni, których dziadowie aż nadto dobrze przeświadczeni o zacności swych rodów, nie kupowali dla siebie obcych tytułów, majątki ich nie uszczuplały, lecz pod dobrym zarządem wzrastały. Sami zamożni i rozumni, odpowiednio wychowują swoje dzieci, i rzecz ciekawa a jednak naturalna, nie mają za kogo wydać swych córek, lub żenić synów, jeżeli oni sami, lub ich dzieci, nie posiadają inicyatywy, szerokich poglądów na społeczeństwo i swe obowiązki, odwagi cywilnej... Tyle na raz rzeczy wymagać od jednego człowieka? Inicyatywa i odwaga cywilna w naszych stosunkach musi należeć i należy do unikatów, jeżeli nie jest zwykłą rzeczą u Francuzów i Anglików.

Zamożne rodziny zjeżdżają do Krakowa i Lwowa na zimowy sezon, zabawić i odświeżyć się w wielkim świecie małych miasteczek. Naturalną koleją rzeczy wchodzą do towarzystwa, jakie egzystuje, i w niem córki ich szukają dla siebie mężów, synowie żon. Bogate dziedziczki dostają hrabiów, mniej zamożne tych, którzy z hrabiami są w dobrych stosunkach, lub mają u nich łaski. Związki te nie zawsze odbywają się przy pochodniach świętego ognia miłości, jak zwykle gdy rzeczy są z góry ułożone, postanowione, naprzód obmyślane, a oblubieńcy wyszukani z troskliwością przez starszych i przez nich młoda para namówiona do zgody i czułe serca dostrojone do jednobrzmiących akordów.

Je ne demande pas mieux — mówi narzeczony — dwakroć sto tysięcy rubli (gdyż kontyngens westalek rodzinnego ogniska przybywa z za Dniestru) musi być dosyć, jeżeli nie może być więcej.

— *Je ne demande pas mieux* — powtarza cicho wzdychając młoda oblubienica — tytuł hrabiowski i miejsce w towarzystwie, musi być dosyć, jeżeli nie może być więcej.

W dzisiejszych stosunkach wystarcza, nikt nie żąda więcej, bo żądać nie umie, i może nie wie czego żądać. Są jednak wyjątki, i jeżeli nas nie stać na odwagę cywilną w czynach, to już jak błyskawice, zwiastuny lepszych pojęć, pojawiają się bons mots, zapowiadające odmienną przyszłość. Jedno z tych bons mots obiegało po Krakowie. Nie idzie tu o jego prawdziwość, czy powiedzianem było lub nie, lecz o charakterystykę wyrabiających się pojęć:

— Przyznaj pan, że nie miałam po co przyjeżdżać do Krakowa, abym nareszcie została pańską żoną.

Tak się odezwała rezolutna rusałka, która przywiozła z za Dniestru paręset tysięcy rubli i ładne imię, lecz nie hrabiowskie, z powodu uporu dziadunia, żałującego swego czasu, pieniędzy, na kupno tytułu. Skąpstwo dziadzi wnuczka musi ciężko odpokutować, na co mamy dowody w wyrażeniu się rusałki do narzeczonego hrabiego, nazajutrz po słowie, przez co rusałka dowiodła wielkiej odwagi, a piękny hrabia wielkiej abnegacyi.

Amanci w komedyach, bohaterowie w powieści, zwykle odgrywają dość smutne role. Żądają od nich wszystkiego, a przedewszystkiem doskonałości, gdy im oprócz czułych westchnień, lub długich monologów, nie wolno nic innego robić. W salonach role bohaterów są nierównie łatwiejsze. Wolno im być wesołymi, sarkastycznymi, a nawet dowcipnymi, gdy ich tylko na to stać, z warunkiem, jeżeli towarzystwo pozwoli, czyli jeżeli towarzystwo jest tyle wykształcone, co w języku potocznem nazywa się, swobodne, że zniesie dowcip bez przymusu i bez kąsania nieobecnych.

Wracając do historyi, piękny narzeczony, a hrabia, gdyby umiał korzystać ze swej wolności bohatera w salonie, powinienby następującą tyradą napad rusałki odeprzeć:

— Szukaj pani odpowiedzi w stosunkach naszej prowincyi. Gdzieindziej miałabyś szersze koło do poszukiwań, i wybór nie byłby zbyt trudnym. W innych warunkach społeczeństwa niekoniecznie potrzebowałabyś pani spokrewniać się w naszem kole, aby znośnie żyć niby w jednej rodzinie, wśród małostek i drobnostek. Możebyś miała inne namiętności, inne pragnienia, tyle dróg stałoby ci otworem, a na tych drogach tylu ludzi z wybitnemi charakterami i dążnościami. Możebyś wtedy rękę swą i majątek zaofiarowała jednemu z reprezentantów tylu różnych prac, a zawsze szlachetnych celów. Wybór nie byłby trudny. Twoja odwaga wtedy niekoniecznie ograniczałaby się na bons mots, mając obszerne pole w spomaganiu pracy swego męża, który oprócz ciebie kochałby jeszcze — coś więcej, i gorzał ogniem wykradzionym na szczęście ludzkości przez Prometeusza! Nie sądzę, abyś zazdrościła swemu mężowi tej miłości i tego ognia. Razem tworzylibyście nowe drogi, obok was garnęliby się nowi ludzie nadziei i przyszłości; koło waszych stosunków zwiększałoby się przynosząc zaszczyt społeczeństwu i prowincyi, a wam radość płynącą z przekonania, że robicie coś więcej nad zwykłe, codzienne spełnianie zadań i funkcyi życia. Przez radość tę, czyli w radości tej, kochalibyście siebie i Boga!

Samo niech ci na to wszystko odpowie społeczeństwo, bo cóż ja jestem winien, żeś nie potrafiła, lub nie miała sił i zdolności zrobić lepszego wyboru?

Gdyby piękny narzeczony tak odparł sarkazm oblubienicy, mam nadzieję, że rusałka odpowiedziałaby cicho z brylantową łezką w oku:

— Tam mój świat gdzie ty! albo jeżeli rusałka nie jest poetyczną:

— *Je vous donne mon coeur.*

O ile złośliwa kronika krakowska mówi, a krakowska kronika jest bardzo złośliwą, piękny narze-

*

czony miał w odpowiedź steoretypowo się uśmiechnąć i skłonić się milcząc. Jadowici, a pewno zazdrośni dodają, że młodzieniec pocałował rusałkę w rękę, dziękując jej za szczerość wyznania.

Sądzę, że gdyby szczodra fortuna uszczęśliwiła Feuillet'a, pozwalając mu ujrzeć światło dzienne w Krakowie, nie wątpię, że świetny ten autor dużoby znalazł tematów do napisania rozlicznych pobożnych uniesień, a jednak do stworzenia „Romansu biednego młodzieńca" brakłoby mu treści tylko dla tego, że w okolicy Krakowa nie ma ruin zamków i wysokich wież, z którychby krakowscy bohaterowie skakali, a może być, że i Małgorzaty krakowskie nie namyślają się zbyt długo w oddawaniu swych rącząt panom Bévallan.

Przepraszam, znam jednego, któryby nie wahał się skoczyć oknem z wieży dla śmiałej rusałki! Cóż kiedy i jego dziadek był oszczędny w tym samym rodzaju, co dziadunio pięknej rusałki. Biedny Maxymie!... I tak oboje muszą cierpieć za błędy i ciężkie przewinienia swych przodków.

Bądźmy sprawiedliwi, wyłom już od lat paru zrobiony. Rozumna a nawet niekiedy dowcipna hrabianka, pojęła za dozgonnego towarzysza dorodnego młodziana, który oprócz zaszczytu należenia do redakcyi *Czasu*, nie miał innych prerogatyw i przywilejów. Wprawdzie młody literat złamał pióro na cześć himenu, nie mniej przeto jest dzielnym obywatelem, obdarzającym kraj wyczerpującemi rozprawami o jednej z ras koni angielskich, a z czego młodzieniec ów nie przestaje być dumnym. Duma usprawiedliwia powagę, a powaga godność osobistą i zasługi, w które się wierzy.

Miejmy nadzieję, że w przyszłości znajdzie się literat, który pojąwszy hrabiankę w małżeństwo, nie będzie łamał pióra, jeżeli do trzymania go pozwoli mu talent, a nawet (o zgrozo) wytrwa zaszczytnie w swych przekonaniach.... *Nozze e magistrati, sono da Dio destinati.*

Delegaci nasi wrócili z Rady państwa do domu na święta i na wiosenne leże. Z prawa im i urzędu ten zaszczyt odpoczynku należy! Wypracowali się, musieli milczeć jako Sfinksy w sprawie ugody węgierskiej i w sprawach polityki zagranicznej. Milczeć z wyższych historyozoficznych względów, gdy piersi rozsadza namiętność wypowiedzenia rzeczy wielkich i wzniosłych, milczeć z poświęcenia dla Europy — jak mówił ś. p. Leon Skorupka — i dusić wyrywający się potok słów, co jak lawina mógłby ogłuszyć i zalać Niemców!... czyż to nie praca, czyż to nie ofiara i poświęcenie dla historyozofii i wyższej polityki.

Prowincya jednak tego nie rozumie, narzeka i skarży się głośno. Trzeba ją ukarać milczeniem — pogardy. Delegaci milczą, w milczeniu przygotowując się do spowiedzi z grzechów osobistych, bo o politycznych grzechach małe mają pojęcie. Błogosławieni cisi....

Tymczasem minister oświaty wygłosił nie na żarty zasadę: że ustawa przez Radę państwa ustanowiona ma prawo znosić ustawę krajową. Są więc obawy, aby szkolne ustawy krajowe nie były zniesione ustawą Rady państwa, lub drogą administracyjną przez ministerstwo! Dalej dr. Rechbauer, prezydent izby Rady państwa, wygłosił na posiedzeniu klubu postępowego, że tylko w dualizmie są złożone główne podstawy panowania i hegemonii Węgrów w Cislitawii, a Niemców w Przedlitawii. Szczerość, pierwszy raz objawiona otwarcie i głośno, zdziwiła wszystkich, którzy nie mają zaszczytu być urodzonymi w Niższej Austryi, a więc nie należą do szczęśliwych hegemonistów, o których znów myśli książę kanclerz niemiecki, a hegemoniści o nim.

Niemcy nam grożą nie na żarty, i grozić nie przestaną...

Czytamy w jednym z dzienników prowincyi:

„Tarnów 18. marca. Niech żyją rządy i gospodarka Rady miejskiej! Jeszcze nie minęło lat trzy jak miasto wybudowało nowy dom szkolny, a już budynek kosztujący przeszło 80 tysięcy złr. grozi zupełną ruiną..."

„Do wspomnianego domu szkolnego prowadzi droga przez większą część roku przepełniona okropnem błotem sięgającem po kostki..." „Panowie radni nic nie robią, kłócąc się li tylko o osobiste interesa..."

Te i tym podobne skargi powtarzają się i nadchodzą prawie co dzień z rozmaitych zakątków kraju, a bardzo rzadko jako odwet przychodzą pocieszające wieści.

Jestem tego zdania, że gdyby skargi te ucichły, czyli gdyby przyczyny do nich nie egzystowały, groźby Niemców nie byłyby tak straszne, chociażby centralizacyą wzięli pod prasy hidraulicze, a miłość ich do kanclerza państwa niemieckiego wzrosła do szaleństwa! Wtedyby Duch święty zstąpił i na naszych delegatów. Usta ich byłyby rozwiązane, i mówiliby różnemi językami: loiki, sprawiedliwości, nieprzedawnienia i odwagi popartej moralną dzielnością prowincyi.

Dzielność moralnego poparcia prowincyi. Zaiste ładny frazes, lecz do jego zrealizowania trzeba nie wiele — tylko pracy i wytrwałości w zawodach publicznych...

W przyrodzie i dziejach, jedna konsekwencya. W przyrodzie i dziejach nie ma przeskoków... Czasu i cierpliwości. *Chi va piano, va sano, chi va presto, more lesto!...*

Nie uprzedzajmy się, potrafmy tylko patrzeć, a zobaczymy postęp. I gdy w innych prowincyach Polski dygnitarze stowarzyszeń zwalczają zarodki opozycyi siwemi włosami, wypukłością ciała i *skromnem* wyliczaniem skromniejszych swych zasług w rodzinie lub resursie kupieckiej, u nas niktby się nie odważył, niechcąc się narażać na śmieszność przez wystąpienie z podobnego rodzaju obroną spraw instytucyi. Tylko przez porównania możemy nabrać przeświadczenia o własnej sile i zamożności.

Długie buty, zawiesiste kapoty, polityka europejska i cuda na wiosnę, ustępują miejsca rozgałęziającym się po kraju: kasom zaliczkowym z nieograniczoną poręką, stowarzyszeniom gwiazd, młodych rzemieślników. Co raz więcej przybywa czytelń i szkół, i co raz więcej uczącej się młodzi. I pewno dla tego nasi delegaci, jeżeli milczeli świątobliwie na pełnych posiedzeniach izby, za to gorliwie pracowali w komisyach, których projekta w całym blasku majestatu mądrości staną na drugiej kadencyi Rady państwa!

Konkurs skończony, sędziowie pod przewodnictwem Stanisława Koźmiana uwieńczyli *Pana Damazego*.

Któż jest „pan Damazy?" — pytają rozciekawieni na wieść o wschodzącej gwieździe, czyli ukazującej się komecie na polu, a raczej na niebie literatury krakowskiej.

„Pan Damazy" — powinniście się domyśleć, kto jest człowiek noszący podobne imię... Jakim zbiegiem fatalizmu chrzestne imiona piętnują charakter i skazują ludzi, aby byli tem, czyli takimi, jakie pojęcia są urobione o osobistościach noszących te, a nie inne imiona, wytłumaczyć trudno. Głównie się to jednak dzieje przez wpływ literatury, a troszkę i malarstwa. Mickiewicz stworzył takie typy w „Panu Tadeuszu," że już nikt naprzykład pod imieniem Gerwazego nie rozumie i rozumieć nie może, jak tylko osobistość bardzo zbliżoną do Horeszkowego sługi.

Pan Bliziński z kilku bardzo dobrze przyjętych komedyi, których treść i osnowa czerpane były ze stosunków wioskowo-szlacheckich, odrazu zdradził się samym tytułem, a poświadczył tożsamość autorstwa pierwszemi scenami przysłanej pracy na konkurs.

— Pan Damazy — mówiono, a domyślano się autora *Marcowego kawalera*, alež to szlachcic starej daty, — a komedya dzieje się pewnie w wiejskim dworku.

— Czy to bogaty? — pytały się mamy obarczone przez szczodrą fortunę córkami na wydaniu, odrazu, że pan Damazy jest kawalerem z sąsiedztwa, a chociażby był marcowym, mniejsza, jeżeliby wadę tę wynagrodził uskładaną przez długie lata gotówką.

— Co do gotówki, nie wiem z pewnością w tak ciężkie czasy, lecz to pewnie, że pan *Damazy*, jest to genie, którego nie możemy sobie wyobrazić, bez długich butów, — czyli inaczej pan Damazy musi koniecznie, mówiąc prowincyonalizmem naszych okolic, — nosić *„buty do szpyrki"*. Otoczenie szlachcica stworzonego do długich butów, harmonizuje z pojęciami wioskowych stosunków. Dodajmy do tego język i koncepta odpowiednie, a łatwo sobie urobić pojęcie o całości. Co wcale nie przeszkadza, aby komedya nie była świetną, a typy w niej wyborne. Jak będzie wyglądać na scenie, zobaczymy.

Obok „Pana Damazego", postawić *Bratnie dusze* nie jest zbyt bezpiecznie, szczególniej przed profanami nie znającymi się na wiejskich typach, a którym za to podoba się salon, elegancya w dobrym guście, obejście wyszukane, chociaż swobodne, dyalog pełen werwy misternie rzeźbiony, i język piękny, jak mi osobiście mówił pan Kłobukowski (sędzia konkursowy). Dodajmy typy przypominające wielu — w Krakowie, chociaż jeden jest tylko skopiowany... a kto wie, jakiby wypadł rezultat na scenie, rozumie się wobec profanów.

Sędziowie wyrokują o sztukach — a sędziów sądzi publiczność. Mało jest w Krakowie ludzi, ktorzyby ośmielili się głośno powiedzieć, że nie wierzą w *nieomylność*, chociażby samych siebie, a cóż dopiero mówić o sędziach sądu wyższego, apelacyi i konkursu dramatycznego. Nie byłoby im więc przyjemnie, aby o ich nieomylności rozprawiała gawiedź siedząca w krzesłach teatru.

Oto przyczyna, dlaczego nad *Bratniemi duszami* nie przystąpiono do głosowania, w zamiarze polecenia ich do grania, chociaż komedya ta miała kilka głosów polecających ją do nagody.

Nie pozwolić się sądzić, nie dać sposobności do porównywań — i *powątpiewań*, należy w Krakowie do obowiązków i zasług obywatelskich. „Zwątpienie, jest to jad zatruwający — serce dziewicy i niewinny umysł młodzieńca! Zwątpienie pierwszy wyraz jaki usłyszała Ewa od szatana zmienionego w węża" ....wyjątek z kazania księdza Goliana.

Z tem wszystkiem zachodziła jeszcze wątpliwość, czy personal teatru krakowskiego znajdzie odpowiednie siły dam do przedstawienia *Bratnich dusz*, szczególniej przy prawie ciągłej słabości panny Urbanowicz, tej krakowskiej, jak ją nazywają, Popielki.

Pięć ról kobiet dobrego towarzystwa, z których cztery wymagają skończonych artystek, nie jest to na siły teatru miasta mającego 50000 ludności — z których najwyżej tysiąc odwiedza czas od czasu — mówiąc po krakowsku — Plac Szczepański, a po akademicku — przyprószony pyłem tradycyi przybytek Melpomeny, gdzie króluje pani Antonina Hoffman — powiedzmy prawdę — dziś — najlepsza artystka polska.

Od takichto dziwnych, często zabawnych, niemniej ciężkich okoliczności zawisł biedny autor polski — jego przyszłość, sława — i twardy kawałek chleba. W Warszawie jeżeli autor nie należy do jednego z trzech kół świętej adoracyi — idzie pod sąd inkwizycyi — i jak zwykle bywa potępion i spalon. U nas!.... Gdybym chciał wszystko wypisać — od czego zależy los autora, u nas, nie starczyłoby miejsca w całym zeszycie Tygodnia. — Zatem do widzenia.

Kraków — Maj — 1877 rok.

KRONIKA PRZYRODNICZA I PRZEMYSŁOWA

Wystawa paryska; udział państw zagranicznych. Podróż biskupa Crowtera na Nigrze. Nowy sposób wyszukiwania trychin. Doświadczenia barona Uchatiusa nad strzelaniem pod wodą.

Roboty około gmachów przyszłorocznej wystawy powszechnej w Paryżu postępują bardzo szybko i raźnie. Plac Marsowy i Trocadero przepełnione są robotnikami krzątającymi się około głównych gmachów, a w biórach wystawowych prowadzą na wielką skalę korespondencye z komitetami państw zagranicznych. Na początku bieżącego miesiąca senator Krantz, komisarz tej wystawy, dał szczegółowe sprowozdanie do ministerstwa handlu ze stanu obecnego wystawy i zgłoszeń mocarstw zagranicznych. Podajemy tu w streszczeniu niektóre dane, odnoszące się głównie do zagranicznych wystawców.

Zaraz po ogłoszeniu urzędowem, że wystawa odbędzie się w r. 1878, wysłano zaproszenie na wszystkie strony i otrzymano po większej części bardzo pomyślne odpowiedzi, chociaż jednak niektóre państwa nie były bardzo przychylne pomysłowi rządu republikańskiego francuskiego i w rozmaity sposób wymawiały się. Jednakże w ogóle wszystkie państwa zgodziły się w zasadzie i obiecały dać ostateczną odpowiedź po rozpoczęciu robót na placu wystawy.

Państwo niemieckie niedługo potem, na podstawie ankiety zwołanej przez izby handlowe, odmówiło swego współudziału i już na początku bieżącego roku miejsce przeznaczone dla Niemców mogło być dane do dyspozycyi innym państwom. Z tych ostatnich troje nie dało dotąd ze względu tak na zawikłania wschodnie, jakoteż na inne przyczyny ostatecznej odpowiedzi. Turcya, Stany północnej Ameryki i Brazylia jeszcze się nie zdecydowały, chociaż nie ulega wątpliwości, że Stany zjednoczone będą reprezentowane. Muzułmańskie państwa na wybrzeżach morza Śródziemnego obiecały swój udział w sposób rozmaity. Rząd cesarza marokańskiego odrzucił wprzód a potem się zgodził na urządzenie wystawy przez Europejczyków i Bej Tunisu zajął się zaraz odnośnemi przygotowaniami. Khediw egipski polecił znanemu dyrektorowi muzeum w Bulaku, Mariette-Bejowi zająć się urządzeniem wystawy egipskiej bez względu na wschodnie zawikłania. Pawilon egipski będzie zbudowany w kształcie staroźytnej nadnilowej świątyni i będzie nadzwyczaj zajmującym ze względów sztuki i archeologii. Azya wschodnia już się teraz przygotowuje do świetnego przedstawienia swych okazów. Chiny będą po raz pierwszy reprezentowane przez komisarzy należących do chińskiego zarządu. Pan Robert Hart, inspektor jeneralny ceł portowych, został przez Syna Niebios mianowany komisarzem chińskim i rozporządza nieograniczonym kredytem na cele wystawy. Japonia będzie przedstawioną przez komisarzy wybranych z pomiędzy samych krajowców. Kraj ten niezmiernie zajmujący wcześnie się wziął do dzieła i dział japoński będzie jednym z najbardziej zajmujących. Szach perski nie chciał także pozostać w tyle i nawet sam przysłał własnych architektów do wystawienia pawilonu na Trocadero. Siam i państwo birmańskie obiecują przysłać zajmujące próby przemysłu i sztuki półwyspu indochińskiego. Państwa zaś średniej i południowej Ameryki — z wyjątkiem Meksyku, z którym Francya nie ma dyplomatycznych stosunków, złączyły się w jeden syndykat, aby wspólnemi siłami pokryć koszta urządzenia i upiększenia wspólnej wystawy. Z mniejszych państw reprezentowanych na wystawie, jednem z najbardziej zajmujących, bo najmniej znanych, będzie afrykańska Rzeczpospolita Liberia.

W ogóle, jedne tylko Niemcy odmówiły stanowczo przyjęcia udziału. Wszystkie inne państwa z przyjemnością przyłączyły się do wielkiej, potężnej manifestacyi Francuzów. Pomimo braku niemieckich wystawców, tak okropnie skompromitowanych na wystawie Filadelfijskiej, zachodnie skrzydło pałacu nie wystarcza na pomieszczenie sekcyj zagranicznych i będzie musiała znaczna ich część mieścić się w anneksach i pawilonach na placu Marsowym i na Trocadero.

Francuskich wystawców już się dotąd dwa razy więcej zgłosiło, aniżeli podczas ostatniej wystawy powszechnej francuskiej w r. 1867. Jest ich dotąd około 35000. Wszystkie znaczniejsze gałęzie przemysłu prywatnego i państwowego obiecały współudział. Minister wojny, z powodów łatwych do pojęcia, nie pozwolił wystawiać materyałów wojskowych i żądał, aby wyznaczono miejsce tylko dla archiwów i dla ambulansów.

W urządzeniu wewnętrznem wystawy będzie także dużo odstąpień od sposobów dotychczasowych. Wejście na wystawę nie będzie kontrolowanem za pomocą kołowrotów, lecz za pomocą biletów urządzonych na sposób biletów kolejowych. Restauracye nie będą się rozciągały długim szeregiem wzdłuż pałacu, jak to miało miejsce w r. 1867, który to sposób był przyczyną wielu nieporozumień i procesów pochodzących z nadmiernej konkurencyi, lecz będą rozrzucone według potrzeby w parkach i ogrodach. Tańsze zakłady gastronomiczne będą starannie kontrolowane pod względem dobroci pokarmów. Teatra, koncerta i t. p. będą tym razem zupełnie wykluczone z obrębu wystawy.

Z 35 milionów franków, wyznaczonych na wystawę, wydano dotąd gotówką 8,200000, a zaangażowano kontraktami 25 milionów. Z powodu nadzwyczaj łagodnej zimy, roboty na placu nadspodziewanie postąpiły naprzód „i"—tak się kończy sprawozdanie — „obawiać się możemy tylko jednej okoliczności, że będziemy mieli zbyt wielki napływ wystawców ze wszystkich stron świata!"

* * *

W londyńskiem geograficznem towarzystwie odczytał pan Hutahinson sprawozdanie biskupa Crowter o jego podróżach w Afryce nad Nigrem. Jak daleko rozszerza się deeta tej rzeki, powiada biskup, nie jest dotąd wiadomem, skłania się on do mniemania, że wiele ze strumieni wpadających na tem wybrzeżu do morza, należy do systemu rzeki Niger. Opisuje potem dolny bieg rzeki aż do połączenia się z Benue, którą krajowcy nazywają „czarną wodą", gdy tymczasem większe ramię Luorra zwą „biała woda". Biskup Crowter dopłynął na Luorze aż do miasta Babba. W jednej z wycieczek dotarł w górę rzeki do Bidy. Król Bidy, proszony o pomoc, darował każdemu z podróżnych konia i dodał przytem, że czyni to z powodu, iż podróżni są Anglikami, a on temu narodowi wiele zawdzięcza. Krajowcy, mieszkający przy dolnym biegu rzeki, są poganami, i niosą bogom w ofierze zwierzęta a nawet ludzi, chociaż czynią to rzadko. Dalej w górę do Bida przeważającą religią jest mahometanizm i podróżni przy byli tam właśnie w chwili, kiedy król obchodził święto Ramadanu. Na brzegach Benue znalazł b. Crowter kolonie Negrów, a ludność miejscowa pełni tam funkcye niewolników. Za ubior cały noszą ci ostatni po kilka pereł. Na przestrzeni 700 mil angielskich spotkano 13 języków, z których 10 zdają się być językami pierwotnymi. Język najważniejszy, używany przez kupców i urzędników. nazywa się Hussa. Wszyscy mahometanie mówią i objaśniają w nim Koran.

Na temże posiedzeniu mówił sam biskup o stosunku chrześcian do mahometan w tych krajach. Chociaż obie te religie są sobie wrogami, to jednak przyznać należy zasługę Islamowi, że zniósł pogaństwo i ofiary z ludzi. Wpływ Anglii jest tam bardzo wielki, głównie z powodu powstrzymania handlu niewolnikami. Anglik może jeździć spokojnie do Sagos i do Sokots. Jest teraz na Nigrze 6 parostatków, które jeżdżą na 350 mil angielskich w górę do Egga. Dnia 29. stycznia przybyli podróżujący do jeziora Victoria Nyanza i znaleźli tam grób sługi Stanleya, Franka Pococka.

Towarzystwo missyjne ma nadzieję, że niedługo na brzegach Victoria Nyanza stanie silna misya chrześciańska.

* * *

Jednym z najniebezpieczniejszych dla człowieka pasożytów są trychiny, które dość często w mięsie wieprzowem się znajdują. Pomimo bardzo starannego nadzoru policyjno-lekarskiego, mięso, zarażone tymi pasożytami bywa sprzedawane na rynkach, i sposoby używane do kontroli, głównie mikroskopowe są bardzo mozolne i wiele potrzebują czasu. Otóż obecnie w numerze 1ym Bulletin de la société impériale des naturalistes de Moscou znajdujemy opis nowego sposobu wynajdywania trychin, podany przez pana Tichomirowa. Sposób ten zasługuje na szczególną uwagę z powodu prostoty i łatwości zastosowania. Podejrzane mięso kraje się na kawałki długie około 3 centymetrów a grube około 3 milimetrów. Kawałki te moczą się w destylowanej wodzie i kładą się do kieliszka szklannego, do którego się wsypuje równą objętość chloranu potasowego. Potem wlewa się do kielicha 4 części skoncentrowanego kwasu azotowego. Mięszaninę tę trzyma się przez godzinę, mieszając od czasu do czasu szklanną pałeczką. Potem wyjmuje się kawałki mięsa, obmywa je w wodzie destylowanej, wkłada do wąskiego szklannego naczynia, zapełnionego w trzeciej części wodą, zakorkowuje się je; i wstrząsa dopóty, aż się tkanka mięsna nie rozdzieli na najdrobniejsze włókienka, tak zwane włókna pierwotne. Wlewa się potem mięszaninę na wgięte szkiełko, n. p. szkiełko od zegarka. Włókna zarażone trychinami są wtedy odrazu widoczne, gdyż widać na nich jedną lub kilka wrzecionowatych wypukłości. Łatwo je odróżnić gołem okiem, a lupa przedstawia je doskonale.

Łatwy ten sposób powinien znaleźć jak najszersze zastosowanie, a prawdopodobnie zaraza trychinowa zmniejszy się znakomicie.

* * *

Słynny baron Uchatius ogłosił w „Mittheilungen über Gegenstände des Artillerie und Geniewesens" interesujące rezultaty doświadczeń nad donioslością pocisków wystrzelonych z karabinów pod wodą. Ciekawy ten artykuł rozpoczyna się jak następuje:

Gdy się czyta w powieści Verna „Dwadzieścia tysięcy mil pod morzem", jak kapitan Nemo oddaje się, razem ze swymi przymusowymi gośćmi, ubranymi w przyrządy nurkowe, przyjemności polowania na dnie morza, i jak zabijają tam z głębokości 10 metrów albatrosa latającego kilka metrów po nad powierzchnią, mimowolnie przychodzi pytanie, czy też można w ogóle strzelać pod wodą?

Otóż poszukiwania barona Uchatiusa wykazały, że strzelać można, ale że donioslość kuli jest bardzo mała. Deska, stojąca w odległości półtora metra od lufy karabinu Werndla nie miała nawet znaku od kuli, i tylko w odległości 1 metra mogła być przebitą.

Pokazuje się więc, że i tym razem, nablagował p. Verne, co mu się zresztą nie bardzo rzadko przytrafia.

B. Abakanowicz.

Piśmiennictwo polskie.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów rzeczypospolitej polskiej z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem galicyjskiego wydziału krajowego. Tom VI. We Lwowie 1876. str. VI, 302.

Piąty to już tom szacownego wydawnictwa profesora Dra X. Liskego. Tom ten zawiera 145 dyplomatów odnoszących się do dziejów miasta

Lwowa i okolicy i dziejów miast i wsi tej części dawnej Polski, którą dziś Galicyą nazywamy. Bardzo to cenne materyały, o czem aby się przekonać, przeglądnijmy kilka dyplomatów. Otóż zaraz numer pierwszy jest nadzwyczaj ciekawy: byłby to zresztą dyplomat wcale nie wielkiej wagi gdyby nie wystawiający go: Andrzej starosta Królestwa Rusi (capitaneus regni Russiae), z poręki Władysława ks. Opolskiego tutaj bawiący. Opolczyk bowiem ustąpił z gubernatorstwa Rusi w r. 1379 a przeto dziwnym wydaje się starosta Andrzej w r. 1386. Jeżeli w tej kopii, którą dopiero po dwugodzinnem użyciu chemikaliów odczytać się dało, nie zaszła jaka myłka, to w takim razie jest dokument ten zagadką, o której rozwiązanie przy dzisiejszych materyałach historycznych kusić się trudno. Ciekawą jest następna grupa dyplomatów a mianowicie numery: 2–6, 9, 17, odnoszące się do familii Melsztyńskich i Tarnowskich. Dyplomaty te znachodzą się w jednym z rękopisów biblioteki Ossolińskich, który jak z całej treści widać należał niegdyś do Spytka z Melsztyna żyjącego z końcem XV wieku. Dyplomaty te w jednym pokładzie pisane były widocznie wypisem z oryginałów w archiwum familijnem się znajdujących i przesłane pewnemu prawnikowi do ocenienia, o ile na nich oprzeć by się można w wytoczeniu procesu Odpowiedź prawnika niewiadomego nazwiska, znajdująca się także w tym manuskrypcie, oddrukowaną tutaj została na końcu. Nie przesądzamy jak wartość tego pomnika ocenią nasi prawnicy, w każdym razie jest to jeden z bardzo charakterystycznych rysów, że z końcem XV. wieku możny pan jak Spytko z Melsztyna nie wytacza pozwu, zanim się nie zapyta prawnika o moc swych dowodów. Jakżeż się to później na gorsze u nas zmieniło! Z dyplomatu 20go dowiadujemy się o nieznanem dotychczas poselstwie Tomasza z Hynkowic z polecenia Władysława Warneńczyka do Tatarów celem zawarcia pokoju, jak znowu z 21go przekonać się mogą niedowierzający, iż i u nas fałszowano dyplomaty, że sam Władysław Warneńczyk przed sfałszowaniem swych dyplomatów ostrzegać musiał, jak dalej numer 33 daje nam smutne świadectwo ociągania się szlachty od płacenia podatków na potrzeby krajowe: na wojnę pruską potrzeba pieniędzy — że ich w skarbie nie było, zrozumie każdy, kto choć raz przejrzał zapisy dóbr królewskich Władysława Jagiełły i Warneńczyka. Sejm w Piotrkowie zebrany przyznaje wprawdzie w r. 1459 potrzebne sumy — ale każda osobna ziemia — tutaj województwo ruskie — otrzymuje osobny dokument, iż podatek ten nie ma przejść w używanie! Nie dopiero tedy w późniejszych wiekach ociągano się od płacenia nieodzownych na utrzymanie obrony granic Rzeczypospolitej pieniędzy, już i w XV. wieku bujnie zakwitł posiew paktu koszyckiego!

Z numerów 44 i 45 dowiadujemy się, iż gdy Odrowążowie uciskali miasto Lwów, rajcy udawali się do innych znakomitych miast o poparcie. To też miasta Poznań i Gdańsk piszą do króla z prośbą o uwzględnienie skarg Lwowian, Że listy te na teraz (r. 1460) nic nie pomogły, wiadomo, i Lwowianie byli zmuszeni zawiązać wraz z szlachtą okoliczną, konfederacyą przeciw Odrowążom w r. 1464 (oryginał z 44 pieczęciami znajduje się w archiwum miejskiem we Lwowie), wskutek czego w r. 1465 zjechał Kazimierz Jagiellończyk do Lwowa a wysłuchawszy 21. Kwietnia *trzystu* (tak!) skarg, odjechał bez wymierzenia sprawiedliwości. Uchwalono tylko aby ziemię lwowską i żydaczowską wykupić za 20.000 z rąk Odrowążów. Oburza się na to postępowa nie z tymi „królikami“ ruskimi Długosz, a i my za nim, zwłaszcza, że to nie tylko Odrowążowie rządzili tak bez skrupułu tutaj na Rusi, już Jana Tarnowskiego, wojewodę i starostę ruskiego, oskarżają Lwowianie w r. 1392, iż się „królem“ mianuje, jak nas o tem poucza zapiska w Helcla starodawnych prawa polskiego pomnikach. Z drugiej strony starał się Kazimierz Jagiellończyk o polepszenie bytu Lwowian przez nakazy, aby nie omijano składów lwowskich (36, 71), przez zniesienie jarmarków w niektórych miastach ruskich (43) lub uwolnienie od podatków na pewien czas (122, 127. 129.)

Numer 67 jest glejtem żelaznym, udzielonym przez króla Kaź. Jag. mieszczanom kaffejskim, celem kupczenia w Polsce.

Inna grupa dyplomatów tutaj ogłoszonych (78—91) wprowadza nas znowu w inną sprawę. Dnia 29. stycznia wyjeżdza Kazimierz Jagiellończyk z Krakowa i przybywa do Lwowa, gdzie miał zjechać Stefan, wojewoda wołoski, celem złożenia hołdu. Wprawdzie Stefan nie mógł stanąć, i nie stanął (Długosz), zajmowały też króla inne sprawy, a mianowicie sprawa nieprawnie pobieranych ceł w miasteczkach i wsiach na Rusi. Wydelegowani do tego sędziowie odbywają tedy od 13. marca do 10. kwietnia roki i odsądzają w 12 razach od pobierania cła. W tym też czasie nastąpił przegląd oryginalnych dyplomatów miasta Lwowa przez Alberta z Żychlina, podkanclerzego, co uwidoczniają zapiski na oryginałach przez niego czytanych: „*Lectum* per Albertum etc.“ Dnia 12. kwietnia znajduje się król już z powrotem w Gródku (według numeru 92), co potwierdza słowa Długosza, iż 11go kwietnia Kaź. Jag. ze Lwowa wyjechał.

Numer 97 wprowadza nas znowu w inną sprawę: dnia 31. lipca 1454 składają urzędnicy ziemi Ruskiej, w powrocie z wyprawy na Tatarów, na ratuszu lwowskim szkatułkę zawierającą trzy najważniejsze dyplomaty, dotyczące Rusi, pod warunkiem oddania jej tylko albo im samym, albo czterem z nich, Agz. V. 76–7. Szkatułka leżała w ratuszu przez lat dwadzieście — dopiero na zjeździe urzędników Rusi w r. 1474 zażądano zwrotu jej, co też nastąpiło niezwłocznie. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że żaden z tych, co szkatułkę do przechowania oddali, nie był przy jej odbiorze, jedni poumierali, inni, jak Jan z Pilczy, na wyższe w Koronie postąpili stanowiska... Jakie to były dyplomaty, mimo określenia iż były one Wład. Jagiełły, królowej Jadwigi i Wład. Warneńczyka, stanowczo rozstrzygnąć się nie da — zdaje się nam jednak, iż pierwsze dwa będą to dyplomaty zaraz po powtórnem zajęciu Rusi w r. 1386 wydane, trzeci zaś według prawdopodobieństwa z 16. grudnia 1438 (Agz. V. 93–5).

Prawdziwą perłą tomu tego jest bezwątpienia numer 105, którym Kaź. Jag. nadaje w r. 1472 Lwowu dwa jarmarki. Obfituje on w tak szczegółowy opis handlu i przedmiotów handlu, że chyba cały przetłómaczyć by nam przyszło, na co tutaj miejsca nie ma, aby dać wyobrażenie o tem życiu, jakiem już przed czterystą laty rozbrzmiewała stolica Czerwonej Rusi.

Jak ze sprawozdania tego widzieć można, obejmuje tom ten przeważnie dyplomaty do dziejów miasta Lwowa — i inne miasta jednak mają tutaj niejedną kartę swych dziejów. Najwięcej stosunkowo po Lwowie jest dyplomatów do dziejów miasta Przemyśla (Nr. 1, 13, 18, 39, 99, 104, 143). Mianowicie ciekawe są dyplomaty, mocą których wójt i rajcy sławetnego miasta Przemyśla (zupełnie w tym tonie jak królowie) raczą potwierdzać statuta cechu kowalów (1471) i uździarzy i siodlarzy (1472).

O mniejszej wagi dyplomatach wspominać tutaj nie możemy — dodamy tylko, iż cały ten tom powstał prawie z samych oryginałów — tylko 13. dyplomatów wziętych jest z kopii. Wartość i szacowność takiego zbioru oceni każdy, kto musiał się spotykać z dyplomataryuszami, które z późnych kopii materyały swe czerpały.

Co do zasad w wydawaniu tego tomu, to szanowny wydawca nie odstąpił tutaj ani na krok od zasad w piątym tomie uwidocznionych, które oby już raz znalazły naśladownictwo.

Indeks jak zawsze wzorowo opracowany, spis wyrazów obcych i pieczęci, spis dyplomatów i dopełnienia kończą wydawnictwo.

Obyśmy jak najprędzej ujrzeli tom siódmy.

M.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXVII.

W niedzielę dnia 29go lipca odbyło się we Lwowie nadzwyczajne walne zgromadzenie Związku galicyjskich spółek zarobkowych i gospodarczych, na którem nareszcie po kilkoletnich sporach rozstrzygniętą została sprawa utworzenia centralnego zakładu kredytowego dla pośredniczenia pomiędzy potrzebującemi kredytu towarzystwami zaliczkowemi a temi instytucyami, które im kredytu udzielać chcą. Jest to sprawa zawikłana o tyle, iż wypadało obmyśleć dla owej instytucyi centralnej towarzystw zaliczkowych taką formę, ażeby: 1o uczestniczące w niej stowarzyszenia nie były obłożone wskutek tego zbyt uciążliwemi zobowiązaniami gwarancyjnemi; 2o ażebypomimo to, te któreby dostarczały instytucyi kapitału obrotowego, miały zapewnione dla swoich pieniędzy najzupełniejsze bezpieczeństwo; 3o ażeby administracya jej była tak uproszczoną, iżby koszta jej jak najmniej wpływały na podrożenie kredytu, udzielanego ze strony instytucyi centralnej pojedynczym spółkom związkowym.

Otóż przez kilka lat nie mogło przyjść do zgody pomiędzy orędownikami tej sprawy co do pytania, w jaki sposób możnaby pogodzić wyżwymienione trzy warunki? Bardzo poważne głosy proponowały stowarzyszeniom formę spółki akcyjnej jako taką, która dozwala najwięcej swobody ruchu, ułatwia znakomicie ściąganie do obrotu kapitałów z zewnątrz i w ogóle nadaje operacyom znakomitą sprężystość. Inni przemawiali znów za formą spółki komandytowej, jako najdogodniejszą dla stowarzyszeń, które w takim razie uczestniczyłyby w niej jako tajni komandytnicy. Dość liczne głosy przemawiały też za nadaniem centralnej instytucyi spółkowej formy udziałowej z ograniczoną albo nieograniczoną poręką, a byli wreszcie i tacy, którzy zalecali jako rzeczywiście najprostszą formę dla projektowanego zakładu centralnego utworzenie kółka żyrowego, którego uczestnicy poręczaliby sobie nawzajem swoje akcepta w miarę tego, o ileby sami z kredytu związkowego korzystali.

Walne zgromadzenie Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych rozstrzygnęło kwestyą w ten sposób, iż oświadczyło się za utworzeniem „Koła kredytowego“ spółek zaliczko-

wych, któreby solidarnie ręczyły za obligi wszystkich uczestników do podwójnej wysokości własnych długów. Zarząd ma się składać z delegatów stowarzyszeń należących do koła kredytowego, z delegatów tych funduszów i instytucyj, które uczestnikom koła będą udzielały kredytu, z patrona Związku stow. zarobkowych i gospodarczych, i z przedstawiciela tej instytucyi, która będzie kasyerem koła kredytowego.

Uchwalono też wnieść petycyą do Sejmu z wezwaniem, ażeby Wydziałowi krajowemu polecono wspierać stowarzyszenia zaliczkowe kredytem z jego funduszów rozporządzalnych za pośrednictwem koła żyrowego.

Drugą petycyą uchwalił Związek wnieść do Sejmu z żądaniem, ażeby Wydziałowi krajowemu polecono utworzyć zakład hipoteczny krajowy, podobnie zorganizowany jak galic. Towarzystwo kredytowe ziemskie, lecz z przeznaczeniem służenia drobnej własności ziemskiej i miastom tanim kredytem hipotecznym. Ten krajowy zakład hipoteczny miałby być zarazem bankierem stowarzyszeń zaliczkowych, eskontując ich weksle, jakoteż przyjmując do reeskontu weksle z ich portfelu.

* * *

Teatrzyk letni Miłosza Stengla rozwija się bardzo pomyślnie ku wielkiej uciesze tych wszystkich, którym zajęcia nie pozwoliły udać się za teatrem lwowskim do Krynicy lub w ogóle dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Dzisiejsze przedstawienie p. Sztengel poświęcił na dochód Towarzystwa sztuki drukarskiej.

* * *

Już *ośm* tygodni minęło jak dr. Bolesław Limanowski został uwięziony, a dotąd śledztwo nie jest ukończone i niewiadomo jeszcze czy będzie obwiniony, tymczasem przez cały ten czas pozbawiony jest możności pracowania, komunikowania się ze światem, nie wolno mu używać wieczorami światła itd. itd.

* * *

Od Pana Władysława Kozłowskiego otrzymujemy list następujący:

Szanowna Redakcyo!

P. Wł Sabowski, autor artykułu, zamieszczonego w ostatnim Nr. Tygodnia: „Pomyłka w dodawaniu, popełniona przez Leibnitza“ utrzymuje, że krytycy dziełka p. Dajsenberga o Leibnitzu ten główne zarzut przeciwko niemu podnieśli, że jest krótkie. Uwaga ta, jeżeli się bliżej nad nią zastanowimy, ma na celu ośmieszyć recenzentów, a podnieść dziełko p. Dajsenberga.

Będąc jednym z owych krytyków, którzy potępili dziełko p. Dajsenberga, jako utwor niedołężny tak pod względem formy, jak i treści, śmiem upraszać Szanowną Redakcyą Tygodnia o zamieszczenie niniejszego sprostowania.

Dziełka p. Dajsenberga nie oceniałem na miarę łokcia, ani funta, jakkolwiek przyznaję, że byłoby to może z korzyścią dla autora *Dziejów Filozofii prawa, Dziejów duchowego rozwoju* i o *Leibnitzu* — w takim bowiem razie wyszedłby on rzeczywiście na pierwszorzędnego pisarza i musianoby o nim powiedzieć to, co sam o sobie wyrzekł w przedmowie do dzieła: *Dzieje duchowego rozwoju* — tj. że jest wielkim filozofem.

Zarzucałem mu głównie chaotyczność układu, zupełną niezdarność w rozumowaniu, popisywanie się erudycyą tego rodzaju, jak wyliczanie dzieł, które Leibnitz czytał, a których nie czytał, z załączeniem do tego tak trafnej uwagi, że nie czytał ich dlatego, ponieważ wyszły one dopiero po śmierci Leibnitza. Dowiadujemy się tu także, że Leibnitz szczęśliwszym był od Arystotelesa pod tym względem, że czytał Pitagorasa i innych greckich filozofów, którzy wcale nie pisali. Zarzucałem mu, że nie ma nawet pojęcia o tem, co jest filozofia, a zarzut ten oparłem na tem, że kto przyjmuje na raz aż trzy kryterya filozoficzne i każe decydować o prawdzie jednocześnie wyobraźni, uczuciu i rozumowi, ten rozmija się z zasadniczemi podstawami filozofii. Zarzucałem mu w końcu sekciarską zaciekłość, która mu podyktowała takie wyrażenia, jak: „Leibnitz zagrzązł w błocie panteizmu.“

Nie mając zamiaru pisać osobnej krytyki, kończę moje sprostowanie.

26. lipca 1877. *Wład. Kozłowski.*

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— *Program robotników. O szczególnym związku pomiędzy spółczesnym okresem historycznym a ideą klasy robotniczej, odczyt Ferdynanda Lassala. Lwów 1877.*

Broszura ta, wydana staraniem Dr. B. Limanowskiego, jak tytuł wskazuje, zawiera program socyalistów niemieckich. Autor zastanawia się przedewszystkiem nad dwiema kwestyami, nad krzywdą klas biednych z powodu niesłusznego wymiaru podatków, a mianowicie podnosi, iż podatki pośrednie ciężą w nierównej mierze na biednych, którzy cały swój ciężko zapracowany pieniądz wydawać są zmuszeni na utrzymanie swoje, a tem samem płacą wielkie podatki pośrednie, gdy przeciwnie klasy zamożne tylko część swych dochodów obracające na potrzeby do życia, tem samem od tej tylko części płacą pośrednie podatki. Domaga się więc autor innego wymiaru podatków, opartego na zasadzie sprawiedliwości, czyli opodatkowania dochodów. Dalej podnosi autor niesprawiedliwość względem klas biednych, które są usunięte od wpływu na rząd i prawodawstwo, gdyż tylko klasy opłacające większy podatek bezpośredni posiadają prawo polityczne, mają prawo wyborów i wybieralności, gdy ciężary, albo w równej mierze ciężą na wszystkich, albo przeważnie na klasach biednych.

Broszura napisana z wielką powagą i umiarkowaniem, zasługuje na bliższe poznanie. Autor wszystkie swoje argumenta popiera liczbami czerpanemi z urzędowych sprawozdań a liczby mają moc przekonywającą.

— Nakładem redakcyi „Prawnika“ opuściła druk broszura pt. *kara uwięzienia i zakłady karne* wykład habilitacyjny dra Józefa Rosenblatta. Autor daje krótki historyczny pogląd na więzienia używane jako karę, zatrzymuje się dłużej nad systemami więzień w Anglii, Ameryce, Francyi i innych krajach, gdzie nad tą sprawą pracowano i starano się doprowadzić ulepszenia do możliwej doskonałości, ubolewa nad nędznem urządzeniem więzień w Niemczech, a szczególniej w Austryi, gdzie więzienia są szkołami złodziejstwa, wypowiada nadzieję że i w Austryi wkrótce przy zmianie prawodawstwa karnego ulepszenia zajść powinny i kończy ogólnemi uwagami jakie ulepszenia w systemie więzień zaprowadzone być powinny: 1. Przyjęcie jednolitych podstaw dla całego państwa w wykonaniu kary. 2. Urządzenie centralnego zarządu więzień. 3. Przeprowadzenie reformy powinno być zastosowane nietylko do zakładów karnych, ale i do domów więzniennych, znajdujących się przy sądach. 4. oświadcza się autor za systemem progresyjnym (irlandzko-angielskim), tj. przez 3 lata odosobnienie połączone z pracą, nauką i d. d. a następnie wspólność na wzór systemu szwajcarskiego, i nakoniec, stadyum trzecie tj. zakłady pośrednie. Jest przeciwny uwalnianiu więźniów przed odsiedzeniem kary. Między prawidłami urządzenia więzień podnosi autor potrzebę przyjmowania na urzędników więziennych ludzi odpowiednich, pojmujących swoje zadanie, jakoteż ważność *Stowarzyszeń więziennych*, któreby opiekowały się więźniem, skoro po odsiedzeniu kary wyjdzie na wolność.

Sprawa poruszona przez autora jest nadzwyczaj ważną, o czem, sądzimy, każdy, ktokolwiek zasłyszał cokolwiek o naszych więzieniach, jest przeświadczony. Żałujemy, że nie wchodziła w program autora kwestya więzień dla ludzi niewinnych, więzionych miesiącami i dłużej w czasie śledztwa i karanych przez ten czas nietylko pozbawieniem wolności, niemożności zarobkowania na wyżywienie rodziny, ale i nieludzkiem traktowaniem. W tej kwestyi autor ogranicza się tylko na żądaniu, aby te więzienia były urządzone oddzielnie, i aby więźniowie byli odosobnieni, a to w celu uniknięcia zepsucia. My zwracamy uwagę na szczytną zasadę prawodawstwa polskiego: *Nikt nie może być więziony bez przekonania winy.*

— Już opuściło prasę dzieło p. Stanisława Ziembińskiego, dyrektora instytutu techniczno-przemysłowego w Krakowie: *Składnia wykreślna* (Geometrya położenia) podług T. Reye'go. Część I. z 7miu tablicami figur geometr. w bardzo pięknem i starannem wydaniu.

— „Świat“, wydawnictwo dla dzieci, z powodu śmierci redaktora na jakiś czas przerwane, znów zostało rozpoczęte.

— Pan Bronisław Grabowski, autor „Mściwoja i Swanhildy“, „Królewicza Marka“, dramatów z dziejów słowiańskich, napisał komedyą p. t. „Sprzymierzeńcy“. Komedya ta podobno złożoną została dyrekcyi teatrów warszawskich.

— „Pamiętniki Paska“ ukazały się w przekładzie rosyjskim w czasopiśmie *Ruskaja Starina*, zawierającem już nieprzebraną mnogość cennych materyałów historycznych. Rzadka bezstronność cechuje redakcyą tego pisma i podnosi jego wartość.

— W tych dniach ukazał się jeden z dalszych zeszytów „Dokładnego słownika języka polskiego i rosyjskiego“ przez K. Dubrowskiego, wydawanego nakładem F. Hösicka.

— Pan Józef Wieniawski w artystycznej swojej podróży po zachodnich krajach Europy dotarł do Londynu, gdzie kilkakrotnie publicznie już występował. W jednym z koncertów w St. James Hall, p. Wieniawski zapoznał Londyńczyków z nieznanemi im zupełnie kompozycyami Moniuszki. Dziennik *The Queen*, z którego czerpiemy o tem wiadomość, podaje wiele szczegółów dotyczących osobistości i artystycznego znaczenia twórcy „Halki.“ Oddaje on zupełną sprawiedliwość Moniuszce, nazywając go kompozytorem nie tylko polskim, ale europejskim. Pomiędzy innemi kompozycyami p. Wieniawski odegrał swego utworu znanego u nas walca, który bardzo podobał się londyńskiej publiczności. Drugi raz p. Wieniawski dał się w Londynie słyszeć w Philharmonic Society.

— Gerson wykończa obecnie obrazek p. t. „Dwie Laszki, rozbrajające Niemca w lesie“. Rzecz wzięta z kronik.

— P. Biedroński, wykonał w tych czasach kopią olejną z portretu Kopernika, znajdującego się w bibliotece Krasińskich. Kopia ta przeznaczona dla muzeum Kopernika w Rzymie.

Szkoły.

— *Szkoła realna w Tarnopolu*, (4 klasowa) jak się dowiadujemy ze sprawozdania Dyrekcyi za rok 1876, liczyła w gronie profesorów i nauczycieli 13 osób. Uczęszczało do szkoły uczniów 94, z końcem roku tylko 87. W klasie I. 26, w klasie IV. 24; najmłodsi wiekiem 11 lat, najstarszy 23 lat, między rozpoczynającymi był jeden 17letni młodzieniec. Pod względem narodowości 65 Polaków (z tych 27 wyznania mojżeszowego), 11 Niemców (z tych 9 wyznania mojżeszowego), 8 Rusinów i innych. Zapłacili taksę na potrzeby szkolne 908 złr. czyli przeciętnie, nie licząc uwolnionych od opłaty, po 13 złr. Sprawozdanie zawiera tablicę z lat kilkunastu, z której dowiadujemy się, że w r. 1859 było uczniów 47. następnie co roku liczba się zwiększała, w latach 1863, 64 i 65 zmalała o połowę do 43 uczniów, odtąd znowu corocznie się zwiększała do r. 1872, w którym doszła 181, od tego roku poczyna ubywać coroku po kilkunastu, tak, że w br. liczyło tylko 94—87. Dyrektorem szkoły jest p. Józef Kicki, zarazem profesor geometryi.

— Szkoła realna cztero-klasowa wkrótce będzie otwarta w Płocku, przez byłego nauczyciela szkół rządowych p. Biernackiego.

Przemysł.

— Rok obecny tak pomyślny pod względem urodzaju owoców, powinienby przekonać obywateli i włościan, jak korzystnem jest obsadzanie szos i traktów bocznych drzewami owocowemi. Przykłady podobnej hodowli owoców spotykamy zaledwie gdzie niegdzie. Dochód z nich obraca się na rzecz służby drogowej, bo jest dziś mały, a nadto w ten tylko sposób dróżnicy podnieceni są do bacznego czuwania nad stanem i ochroną tych drzew. Gdyby jednak u nas gminy wiejskie podniosły tę sprawę i zajęły się wysadzeniem wszystkich dróg bocznych drzewami owocowemi, utworzyłyby się ztąd nowe źródła dochodu, niejednokrotnie służyć mogące do pokrycia różnych ciężarów — lub utworzyć fundusz na różne wkłady i amelioracye, które pomimo istotnej potrzeby, zupełnie dziś są pomijane.

— W ubiegłych pięciu miesiącach roku bieżącego, fabryki angielskie wysłały za granicę maszyn parowych za 20,369,600 franków.

Podróże.

— *Ostatnia angielska wyprawa do bieguna północnego*, szczęśliwsza była od wszystkich dotychczasowych ekspedycyj w te polarne strefy. Jak wiadomo, kapitan Parri zdołał dostać się zaledwie do 82° 45' szerokości północnej — wyprawa austro-węgierska Weiprechta i Paiera (1872—1874 r.) która porzuciła swój okręt utkwiony wśród olbrzymich lodowisk, nie zdołała dalej posunąć się jak do 82° 5' — amerykańska znowu wyprawa kapitana Galla w r. 1872 przedarła się zaledwie do 82° 16'. Otóż ostatnia angielska ekspedycya sięgła aż do 83° 20'. Dalsze atoli posuwanie okazało się wprost niemożliwem, z powodu olbrzymich lodowisk grubych od 20 do 30 sążni, tworzących istotne góry lodowe i zamykających drogę. Wielkie te i stare lodowiska w r. 1876 posunęły się nieco dalej na południe niż zwykle w kanał Robsona, skutkiem czego zima była nadzwyczaj ostra. Głównym owocem wyprawy angielskiej jest odkrycie związku wodnego między wspomnianym kanałem Robsona a morzem Lodowatem — następnie wyprawa zbadała dokładnie brzegi Ameryki północnej i Grenlandyi na wschód od kanału — oraz nabyła przekonania, że w okolicach podbiegunowych nie ma wcale stałego lądu. Oprócz tego zbadała część morza Lodowatego i rozstrzygnęła kwestyą czy Grenlandya jest wyspą. Obok odkryć z zakresu geografi, ekspedycya zebrała mnóstwo danych z dziedziny magnetyzmu, zorzy północnej, meteorologii, geologiii, botaniki i zoologii. Wyprawa powyższa wyruszyła w drogę pod biegun w maju 1875 r. a powróciła w końcu października zeszłego roku. Żadna może z ekspedycyj w strefy nowoczesnej Izydy, nie była tak starannie i przewidująco urządzona. Admiralicya angielska, nauczona doświadczeniem, nie szczędziła kosztów na zaopatrzenie załogi w jak najlepsze i najobfitsze zapasy żywności, odpowiednią do warunków klimatycznych odzież, w lekarzy, medykamenta i t. p. Żeby zaś ludzie wchodzący w skład załogi nie próżnowali i nie nudzili się w czasie długich podbiegunowych nocy, okręty zostały tak zbudowane, że mogły jak najlepiej pływać wśród lodów. Załoga składała się z wybornych, dzielnych i znających dobrze swe rzemiosło ludzi — dowództwo nad nimi poruczono kapitanowi Nares, jednemu z najdzielniejszych marynarzy angielskich. Wycieczki, jakie czyniono z okrętu po lodach, były tak mozolne — mrozy zaś były tak silne, że załoga wiele bardzo ucierpiała od szkorbutu, który, jak utrzymują lekarze, powstał głównie z powodu długiego braku światła słonecznego. Okoliczność ta zmusiła głównie kapitana Naresa do wcześniejszego powrotu, niż to było początkowo zamierzone. Tym więc sposobem biegun północny i tym razem nie został dosiągnięty.

— Projekt kapitana marynarki amerykańskiej Howgate'a, założenia po za Fort-Foulke czasowej kolonii, i dotarcia następnie do bieguna północnego, wejdzie w wykonanie. Dnia 15-go b. m. wyruszy na wody, gdzie zeszłego roku zimował statek „Discovery,“ ekspedycya pod wodzą kapitana Tyson. Na kończynach morza polarnego kapitan Tyson obierze stosowne miejsce dla założenia zaprojektowanej kolonii, a w roku 1878 podąży tam kilkunastu marynarzy zaopatrzonych w składany budynek, żywność i wszelkie potrzeby na lat trzy. Przez ten przeciąg czasu śmiali podróżnicy usiłować będą dostać się sankami do bieguna w porze, w której lody się usuwają. Taki jest plan amerykańskiej wyprawy.

ROZMAITOŚCI.

— Wystawa paryska w r. 1878. Od niejakiego czasu kancelarya senatora Krantz'a wydaje bilety na zwiedzanie robót około wystawy powszechnej. Nie zbywa na ciekawych do obejrzenia tych olbrzymich robót. Pomiędzy zwiedzającymi znajduje się najwięcej cudzoziemców.

Gmach wystawy na rok 1878 będzie miał formę prostokątnę. Na prawo i lewo galeryi, na sztuki piękne przeznaczonej, a składającej się z ośmiu grup, ciągnie się równolegle dziesięć innych galeryj, po pięć z każdego boku. Galerya, najbliższa pałacu sztuk pięknych, zowie się welonową, dla tego, że za całe okrycie będzie miała same welony, czyli różnokolorowe płótna, tak ułożone, aby ze wzgórza Trocadero przedstawiały efektowny widok. Każda narodowość będzie miała swoją fasadę; gmach obejmie wszystkie style architektury i będzie stanowił powszechną wystawę budownictwa.

Od galeryi welonowej poczyna się pałac przemysłu, zbudowany z żelaza. Budynek ten wznosi się na marmurowych fundamentach, obejmujących 600 metrów kubicznych i składa się z trzech galeryj równoległych, po 25 metrów szerokości, a $12^1/_2$ wysokości. W pierwszej galeryi pomieszczą się sztuki wyzwolone; w drugiej ruchomości i sprzęty domowe; w trzeciej zaś ubranie i materye surowe, z których się sporządza odzież.

Po tych galeryach następuje obszerna galerya na machiny, której ściany żelazne są wykończone do połowy. Ten równoległobok jest długi na 700 metrów, a szeroki na 35. Obok wznoszą się magazyny wychodzące na ogród, a przeznaczone na płody rolnicze i żywność wszelkiego rodzaju.

Miasto Paryż zbuduje osobny gmach, w którym się pomieści wystawa paryzka. W niej się znajdą wszelkie osobliwości miasta Paryża.

Wszystkie roboty z żelaza będą ukończone z dniem 23 września rb. Obecnie rozkopują ziemię pod ogród dla kwiatów, z dwoma stawami, naprzeciwko pawilonów, które wychodzą na Sekwanę. Dokoła stawów wznoszą skały sztuczne, z których każda obejmie przestrzeni dwa tysiące metrów kwadratowych.

Na lewym brzegu Sekwany prowadzą drogę podziemną, długą na 40 metrów, a szeroką na 8. Ta droga będzie służyła pod kolej żelazną, którą mają zbudować pod Paryżem.

Wiele trudności napotkane w budowie gmachu na placu Trocadero. Gmach ten będzie przeznaczony na zabawy, koncerty, widowiska teatralne i wystawę archeologiczną. Dokoła zostaną urządzone groty i wodospady. Z lewej strony gmachu wykopią otwór, który poprowadzi do katakumb, znajdujących się pod Paryżem.

W ogólności na placu Trocadero i na polu Marsowem roboty postępują szybko i zostaną ukończone w porze oznaczonej. Wiadomo iż koszta budowy obliczono na 35.313.000 franków. Do tej chwili wydano już 25 miljonów z górą. Sądzą, iż wypadnie zażądać jeszcze z kilka milionów kredytu, bo pozostałe dziesięć milionów nie wystarczą na dokończenie robót.

— Z Brukselli donoszą, że p. Bunsen, Richthofen i Nachtigall, delegowani niemieccy na kongres towarzystw mających na celu eksploatacyą Afryki środkowej, przybyli już do tego miasta. Jak wiadomo, towarzystwa powyższe powstały z inicyatywy króla Belgów. Cesarz niemiecki ze swej prywatnej szkatuły zaofiarował na powyższe cele 25 tysięcy marek. Prezesem towarzystwa niemieckiego eksploatacyi Afryki jest książę Reuss, ambasador niemiecki w Konstantynopolu.

— Z Berlina donoszą, że projekt urządzenia linii telegraficznych podziemnych już wchodzi w wykonanie. Roboty między Hamburgiem i Berlinem zostały rozpoczęte. W ten sposób telegrafy będą zabezpieczone od uszkodzeń, jakie często wynikają skutkiem burzy.

— Siedlecka straż ogniowa coraz piękniej się rozwija. W tych dniach znowu magistrat siedlecki postanowił powiększyć budynki przeznaczone na przechowanie narzędzi ogniowych.

— Słynne kamelie z oranżeryi w Neplach, mają być podobno zakupione do ozdoby Łazienek Królewskich w Warszawie — i nie dziw, — Nepelska hodowla kamelii może iść w zawody z każdym takim zakładem zagranicznym. Przeszło półtora tysiąca sztuk tych krzewów od 8 do 10 łokci wysokości, różnobarwnym kwiatem pokrytych, przedstawia wspaniały widok. Obecny właściciel dóbr p. R., ze znajomością ogrodnictwa i piękna, utrzymuje oranżeryą, nie szczędząc ogromnych nakładów — i rok rocznie pomnaża ilość krzewów kamelii. Prawda, że szkoda jest tracić nam ten bogaty zbiór kwiatów, pisze korespondent do Kur. Lubelskiego, ale z drugiej strony, grzechem jest ukrywać w zakątku — co służyć może ku ozdobie tak pięknego miejsca, jakiem są Łazienki Królewskie w Warszawie.

— Niesumienność służących jest przyczyną niekiedy smutnych bardzo wypadków. Zdarzenie, jakie miało miejsce w jednem z miast prowincyonalnych, może być nową przestrogą dla matek powierzających swoje dzieci opiece piastunek.

Dwie sąsiadujące ze sobą rodziny wysyłały codziennie piastunki z dziećmi do ogrodu, na świeże powietrze tak pożądane dla niemowląt, dla zaspokajania wszakże chwilowo ich głodu lub pragnienia zalecano piastunkom brać flaszkę z mlekiem.

Po niejakim czasie zauważono, iż powietrze zamiast wzmacniać siły działało na jednego z chłopczyków zupełnie przeciwnie. Opadał bowiem z ciała, słabł widocznie, chociaż żadnych oznak wyłącznych cierpień nie okazywał.

Wkrótce dziecina wśród nagłych kurczów zakończyła życie.

Drugi chłopczyk również słabł powoli, silniejsza jednak może natura dłużej opierała się szkodliwym wpływom.

Na szczęście druga matka wypadkiem doszła przyczyny odbierającej zdrowie jej synkowi. Dostrzegła ona jak piastunka do flaszki z mlekiem dolewała spirytusu. Schwytana na uczynku służąca tłomaczyła się, iż robi to jedynie w tej myśli, ażeby dziecko lepiej spało. Następne dochodzenie okazało, iż obiedwie służące dolewały zawsze spirytusu do mleka, — a uśpiwszy tym sposobem dzieci, mogły swobodnie oddawać się własnym rozrywkom. Że działanie spirytusu przyprawiło o śmierć pierwszego chłopczyka, i szkodliwie wpływało na zdrowie drugiego, to zdaje się nie ulegać kwestyi.

Od Redakcyi.

W. Pan J. M. w Partyni. Prenumeratorowie obrażają się, jeżeli wstrzymujemy posyłkę Nr. zpoczątkiem kwartału, więc skoro kto nie odsyła Nr. I. uważamy, że życzy sobie nadal odbierać pismo.

W. Pan S. K. w Zalesiu. Numera były wysyłane tylko zaginęły na poczcie, wysyłamy ponownie.

W. Pan J. D. w Ostrzeszowie. Które Nr. „Tygodnia“ nie doszły rąk pańskich? Prenumeraty „Towarzysza“ zniżyć nie możemy. Prenumerata oznacza się zwykle najniższą, aby się tylko koszta nakładu wróciły. Cóż tu jeszcze zniżać?

Treść Nr. 48.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.